

# JÓZEF BARTŁOMIEJ ZIMOROWICZ

BURMISTRZ, POETA

i

KRONIKARZ LWOWSKI



W TRZECHESETNĄ ROCZNICĘ JEGO URODZIN

NAPISAŁ

DR. KORNELI HECK



W E L W O W I E

STARANIEM i NAKŁADEM GMINY KR. ST. MIASTA LWOWA

1897.

38391

I.

Wyr. M. L. Bernacki

Czwon 1934

Har



## I.

# M ł o d o ś ć

(r. 1597—1623).

Powoli tylko i stopniowo rozprzestrzeniał się żywioł polski na Czerwonej Rusi, powoli i stopniowo wnikał w tę ziemię obficie krwią przodków naszych zroszoną. Szlakiem przez Przemyśl wcisnął się najpierw w okolice lwowskie, objął jakby żelazną obrczą nasz gród i stąd, trzymając się przeważnie dróg handlowych, rozszerzał się promieniami po kraju, w kierunku Lublina, Łucka, Kijowa, przez Halicz do Kamieńca i Mołdawii, wreszcie na południe ku Karpatom. Tysiące rodzin szlacheckich a za nimi i tłumy mazurskich wieśniaków osiadły na Czerwonej Rusi i choć pozostawione same sobie, zmarniały w znacznej części dla żywiołu polskiego, ale nie zmarniały dla kraju, w którym odtąd żyć miały. Dopiero ruch kolonizacyjny z XV. i XVI. stulecia, kiedy to zakładano miasteczko za miasteczkiem i osadę za osadą, dał krainie naszej gęstszą ludność i zmienił jej wygląd, wiążąc równocześnie ściślej z resztą dawnych prowincyi polskich. Odtąd i Ruś Czerwona poczyną brać udział coraz żywszy w literaturze naszej. Najpierw są to

duchowni, którzy jak Grzegorz z Sanoka w XV. wieku zaczynają odgrywać wybitniejszą rolę w piśmiennictwie narodowem; później występują przedstawiciele szlachty, jak niezapomniany Mikołaj Rej z Nagłowic i poeta Sęp Szarzyński; wreszcie przychodzi kolej i na mieszczaństwo osiadłe w handlowem i cywilizacyjnem ognisku tej prowincyi. We Lwowie żyje i wychowuje się sławny poeta Szymon Szymonowicz, we Lwowie lat temu trzysta, 20 sierpnia r. 1597 rodzi się i Józef Bartłomiej Zimorowicz.

Gród nasz stołeczny podówczas jeszcze całkiem inaczej wyglądał. Właściwe miasto zajmowało wtedy nader nieznaczną przestrzeń zamkniętą między Wałami hetmańskimi, Szkarpami, dzisiejszą ulicą Sobieskiego i Skarbkowską. Otaczał je najpierw mur wewnętrzny, za nim drugi mur niższy zewnętrzny, dalej głęboki rów, za tym wysokie wały ziemne i wreszcie drugi rów, do którego od strony zachodniej rzeczka Pełtew wpadała. W obrębie tej niewielkiej przestrzeni wznosiło się dwieście kilkadziesiąt domów i kamienic, częściowo do dzisiaj przechowanych, sterczały gmachy: ratusza, niższego zamku (rezydencji starosty królewskiego), katedry, cerkwi Wołoskiej, kościołów: Ormiańskiego, Dominikańskiego i Franciszkańskiego (tuż koło późniejszego nieco kolegium OO. Jezuitów). Klasztor i kościół Bernardyński, budowany od r. 1600—1621 i umyślnie z rozkazu króla Zygmunta III. silnie ufortyfikowany, leżał już poza obrębem właściwego miasta, do jego murów tylko przylegając.

W tak ścieśnionych granicach mieszkała 10 do 12 tysięczna ludność, na którą składali się głównie Po-

lacy, od XVI. wieku losami całego miasta kierujący, dalej liczni i zabiegliwi Ormianie, tudzież twardo przy swoim obrządku stojący Rusini i Żydzi. Wszyscy oni stali za ladą lub trudnili się rzemiosłem, bo Lwów przedewszystkiem był miastem kupców i rzemieślników.

Głównymi artykułami handlu lwowskiego były towary wschodnie, jak tkaniny jedwabne, kobierce i przeróżne korzenie, a obok tego wyroby sukienne i płócienne, skóry i futra, tudzież wino greckie i węgierskie. Niemniej handlowano zbożem, które składano w obszernym spichlerzu, specjalnie do tego urządzonym, dalej wołami, woskiem, miodem i potażem, wypalany w puszczech bukowińskich i krajowych, a już prawdziwie sławnym był Lwów z handlu suszonymi i solonymi rybami, których w wielkiej ilości dostarczały liczne podówczaś i sztucznie utworzone stawy Czerwonej Rusi. Pełno więc było we Lwowie sklepów i pomniejszych kramów. W czasie zaś jarmarków, z których najślawniejszy przypadał na św. Agnieszkę (21 stycznia), roіło się literalnie od tłumu kupczących, miejscowych i zagranicznych najrozmaitszej narodowości, a wszystkie place większe i mniejsze zapełnione były szczelnie namiotami i budami przekupniów. Rzemiosła były również liczne i dość wysoko rozwinięte, a rzemieślnicy podzieleni na cechy z własną kasą i własnym zarządem.

Z imienia i ustawy kończył się Lwów wraz z murami miasto okalającymi. W rzeczywistości jednak liczył przeszło 30.000 mieszkańców, bo należały do niego także dwa dość ściśle z nim złączone przed-

mieścia, Wysokim Zamkiem i cerkwią św. Jura przedzielone. Pierwsze z nich, to przedmieście krakowskie o 250 domach, zamieszkałe głównie przez Żydów i Rusinów, dość brudne i niechlujne, z licznymi cerkwiami i kilkoma młynami nad Pełtwią; drugie to halickie, o wiele jeszcze rozleglejsze, bo prawie 1.000 numerów liczące. Rozłożone na obszarze dzisiejszej dzielnicy Łyczakowskiej, halickiej i gródeckiej po plac i cerkiew św. Jura, miało zupełnie inny wygląd, niż przedmieście krakowskie, i przedstawiało obraz nader urozmaicony. Tu na olbrzymiej stosunkowo przestrzeni spotykałeś pałacyki magnatów, dworki i wille bogatych mieszczan i szlachty, schludne domki zamożniejszych mieszkańców przedmieścia, a obok nich liczne nędzne, chaty uboższych rzemieślników i zagrodników, z gliny i trocin pobudowane.

Do przedmieścia halickiego należała też właściwa kolebka Zimorowiczów, ulica Glinńska czyli Gliniańska. Położona w tej stronie, którą już wtedy Łyczakowem zwano, ciągnęła się w kierunku ku Winnikom i Glinianom i liczyła wraz z pozostałą resztą Łyczakowa około dwieście domów z kościołem św. Wawrzyńca, cerkwią św. Krzyża i własnym zarządem, złożonym z wójta i kilku starszych, podlegających naczelnej zwierzchności właściwego miasta. Północną jej stronę, południowe stoki gór zajmującą, zdobiły dworki zamożniejszych mieszczan i winnice (bo jeszcze wtedy we Lwowie wyrabiano wino, choć kwaśnego i dość ostrego smaku), południową zaś zapełniały domki rzemieślników i wyrobników przedmiejskich, pobudowane na gruntach

i łanach, przeważnie do szpitalu św. Ducha należących.

W tej ulicy Glińskiej czyli Gliniańskiej mieli i rodzice Zimorowicza, Stanisław i Katarzyna, niewielką dziedziczną posiadłość, na którą składały się zwykły domek przedmiejski z koniecznymi budynkami gospodarskimi na dziedzińcu, tudzież ciągnący się za nim ogród warzywny i sad owocowy — wszystko w dość małych rozmiarach tak, że samo przez się nie byłoby jeszcze całej rodzinie zabezpieczyło egzystencji lepszej i znośniejszej. Warunki jej bytu polegały też w istocie zupełnie na czem innem.

Przedmieszczanin Stanisław był z zawodu majstrem murarskim, chętnie powoływanym do współudziału przy budowie domów prywatnych i publicznych. Rzemiosło go żywiło a nie gospodarstwo, rzemiosło zapewniało mu też byt przyzwoity, gdyż majstrów było niewiele i majster ówczesny był czemś więcej, niż dzisiaj. On akordował nieraz roboty ryczałtem i pobierał wynagrodzenie nietylko dla siebie, ale także i dla swych pomocników. Jeżeli więc był rządny i grosza nie marnował, to miał się nieźle i mógł zabezpieczyć dość przyzwoity byt swej rodzinie. Że zaś takim był i ojciec naszego Bartłomieja, to zdaje się wynikać już z tego, iż miał środki do wykształcenia dzieci i pragnął, by zostali czem innem, niż sam był.

Ten rządny gospodarz i pracowity majster murarski zwał się też przez całe życie Ozimkiem, a nie Zimorowiczem. Stąd i jego synowie według ówczesnego zwyczaju powinni byli nazywać się Ozimkowi-

czami, a nie inaczej. Że jednak podówczas do zmiany nazwiska nie przykładano tak wielkiej wagi jak obecnie, przeto i nasz Bartłomiej przybrał z czasem nazwę Zimorowicza, bo ta dla ucha przyszłego poety brzmiała bez wątpienia przyjemniej niż: Ozimek, lub Ozimkowicz.

Oboje rodzice Zimorowicza, Stanisław i Katarzyna Ozimkowie, wyznawali religię rzymsko-katolicką. Wszelkie baśnie o ich pochodzeniu ormiańskim polegają tylko na mylnem pojmowaniu końcówki „wicz“, która jak dzisiaj u Rosyan, służyła jedynie do bliższego oznaczenia imienia ojcowskiego i nie była wcale wyłączną właściwością Ormian polskich. Katolikiem również, do swej wiary szczerze i głęboko przywiązanym, był i sam poeta od pierwszych chwil młodości. Nie byłby też inaczej został rajcą i burmistrzem Lwowa, bo według ówczesnych statutów miejskich taką godność piastować mógł wtedy tylko wyznawca rzymsko-katolickiego kościoła.

Przyszedł na świat nasz poeta, jakto już wyżej powiedzieliśmy, w dniu 20 sierpnia 1597 r. Na chrzcie otrzymał trzy imiona: Józefa, Bartłomieja i Jana, ale do późnej starości używał tylko jednego z nich t. j. Bartłomieja. Był też, zdaje się, dzieckiem pierworodnem. Po nim dopiero następowały siostry Agnieszka i Teresa, które później wyszły za piekarzów Wrzeszczowicza i Gawłowskiego, tudzież młodszy o lat 8 Szymon, również poeta i autor ładnych pieśni lirycznych przezwanych Roksolankami. Rodzeństwo nie było więc zbyt licznem, a że w domu panował dostatek mierny, przeto Ozimkowie postanowili dzieci swe



kształcić i zapewnić im lepszą, niż sobie przyszłość.

Początków czytania i pisania uczono wówczas za zwyczaj w domu rodzicielskim pod kierunkiem tak zwanych „pedagogów“ lub „inspektorów“, czyli jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, instruktorów lub nauczycieli domowych. Następnie dziecko, umiejące czytać i pisać, posyłano do jednej z czterech szkół, wtedy we Lwowie istniejących. W siedemnastym mianowicie wieku oprócz ruskiej stauropeigialnej i ormiańskiej były we Lwowie i dwie szkoły katolickie. Jedna z nich to kolonia akademii krakowskiej przy katedrze, zostająca pod wspólnym nadzorem kapituły i zwierzchności miasta, założona już w XV stuleciu; druga to szkoła utrzymywana przez OO. Jezuitów, otwartą dopiero w r. 1608. W pierwszej, licho uposażonej i podówczas upadającej, kurs trwał lat trzy pod kierunkiem jednego tylko lub dwu nauczycieli; prócz śpiewu kościelnego, na który tu wielką uwagę kładziono, uczono głównie języka łacińskiego, katechizmu i rachunków. W drugiej o wiele zasobniejszej, liczącej nieraz 500, 600 i 700 uczniów, uczono również tych samych przedmiotów, ale na nierównie większą skalę, bo nauka trwała lat sześć, a profesorów-zakonników było zawsze kilkunastu. Stąd nie dziw, że uczniowie często po ukończeniu szkoły katedralnej przechodzili do jednej z wyższych klas w konwiktach OO. Jezuitów, jeżeli już wprost nie udawali się na dalszą naukę do akademii krakowskiej lub za granicę.

Tą samą drogą szedł zrazu i nasz Bartłomiej. Czytania i pisania nauczył się w domu, resztę miała uzupełnić szkoła katedralna. Prości i głęboko reli-

gijni rodzice odczuli widocznie ważność tej uroczystej chwili, bo zaprowadziwszy syna do niewykończonego podówczas kościoła OO. Bernardynów, modlili się gorąco przed cudownym obrazem błogostawionego Jana z Dukli. Tu też przed obliczem Świętego zawiesili synowi kałamarz i tabliczkę przez lewe ramię i wręczyli mu pióro gęsie, przez siebie samych zacięte. Musiała to być doprawdy czuła i rozrzewniająca scena, skoro wryła się Bartłomiejowi tak głęboko w pamięć, że jej nawet w starości nie zapomniał opisać. Bóg też pobłogosławił starym Ozimkom, bo ich najstarszy syn nauk nie zaniedbywał i własną pracą dorobił się majątku i znaczenia u współczesnych i potomnych.

Przez trzy więc lata spieszył nasz poeta codziennie z ulicy Glińskiej popod budujący się właśnie kościół Bernardyński przez bramę halicką do szkoły w domu kapitulnym umieszczonej, spieszył z kałamarzem, przez szyję i ramię zawieszonym, z tabliczką, książkami i kajetami pod pachą, aby zaczerpnąć wiedzy i wydobyć się z tego stanu, na który go zawód ojca skazywał. Wyzyskał też niezawodnie wszelkie wiadomości, jakich mu ówczesna szkoła katedralna użyczyć mogła i byłby pewnie sięgnął jeszcze po inne wyższe i rozleglejsze, gdyby materyalne położenie rodziców było na to pozwoliło. Niestety jednak środki pieniężne Ozimków nie starczyły zdaje się, by opłacić takse w konwiktach OO. Jezuitów lub umożliwić synowi wyjazd do Krakowa. Trzeba więc było po ukończeniu szkoły katedralnej pozostać znowu w domu i chyba samemu o własnych siłach pogłębiać i rozszerzać zdo-

bytą już wiedzę. Nie był od tego nasz Bartłomiej, bo jako bardzo młody jeszcze, nie zdawał sobie należytej sprawy ze swego położenia. A że był krewkim z natury i nader wesołego usposobienia, jak cała ówczesna młodzież szlachecka i mieszczańska, przeto choć czuł wstręt do rzemiosła i uczył się zapewne sam, ile mógł, przecież nie unikał rozrywek i bujał swobodnie pod opieką skrzydeł rodzicielskich, spędzając wszystkie chwile wolne pod otwartem niebem, w gronie rówieśników sobie podobnych.

Kiedy jednak wyrósł na młodzieńca, trzeba było zająć się czemś poważniejszym, pomyśleć na seryo o przyszłości. Do jakiegoż zatem zawodu mieli go rodzice przyzwyczaić, skoro nie okazywał chęci do rzemiosła ani do stanu kupieckiego? — Istniała jeszcze jedna droga, która mu przyzwoity był zabezpieczyć mogła i odpowiadała lepiej jego usposobieniu. Był nią zawód palestranta sądowego, korzystny nadzwyczaj dla ludzi młodych, talentem i wrodzonym sprytem obdarzonych. Wstąpił w istocie na tę drogę młody Bartłomiej i doszedł po niej z czasem do wielkiego znaczenia i do najwyższych w mieście godności, o jakich zrazu mógł chyba tylko marzyć plebejusz z przedmieścia halickiego.

Jak przy szlacheckich dawnych trybunałach i sądach żywiła się cała rzesza prawników i palestrantów, dorabiających się nieraz pokaźnej fortuny majątkowej, tak i we Lwowie kancelarye pisarzów czyli notaryuszów sądów miejskich zatrudniały wielką liczbę podpisków t. j. dyurnistów, składających się częściowo z ludzi, co później sami na własną rękę prowa-

dzili procesy i stawali się zaprzysiężonymi obrońcami, zbliżonymi prawie zupełnie do naszych dzisiejszych adwokatów. Do nich przyłączył się teraz i młody Zimorowicz wstąpiwszy do kancelaryi wpływowego podówczas we Lwowie pisarza, Alberta Zimnickiego. Tam to począł przepisywać przeróżne pozwy i pisma, w jakie obfitowała ówczesna procedura sądowa i tamto dopiero zaznajomił się z prawem miejskiem i ustawami krajowemi. Czynność zresztą nie była zbyt natężającą i pozostawiała zawsze jeszcze wiele czasu wolnego do zabawy i rozrywek, w których jak wiadomo kochała się cała nasza palestra. Dogadzało takie życie usposobieniu poety, który przez wrodzony dowcip i humor, jaki tryska z jego pierwszych utworów, stał się wnet ulubieńcem swoich towarzyszy. Tu też w tem gronie przy pełnych swobody biesiadach i rozrywkach otrzymał pierwszą podniechę do składania wierszyków, zrazu wesołych i rubasznych.

Drugim bodźcem dla twórczości poetycznej młodego Zimorowicza była gorąca miłość do nieznaney nam z nazwiska mieszczanki lwowskiej. Stosunek trwał dłuższy czas, choć ulubiona nie chciała odpowiedzieć równie gorącym uczuciem. Widocznie krewki i pełen życia poeta nie zrzekł się tak prędko wszelkich nadziei i wezbraniu własnych uczuć dawał wyraz w licznych, drobnych wierszach tak, iż później mógł słusznie o sobie powiedzieć :

Żem lubo cicho szeptał, lubo spiewał krzykiem,

Zawszem się słyszeć dawał niewieściem językiem,

Tusząc sobie, że przez te fraucymerne baśnie

Imię swe białej Rusi najlepiej objaśnię.

Wszystkie te pieśni tak miłosne, jak i przy „godowniczych stołach“ utworzone, podobały się nadzwyczaj współczesnym, skoro poeta choćby nawet ze znaczną przesadą może włożyć w usta jednej z osób występujących w jego sielankach:

Nie masz tego siola,

Nie masz biesiady ani ślubnego obiadu,

Kędyby nie spiewano pieśni twego składu.

Odzywają się w starych i nieletnich ustach,

A nawet pastuszka po gęstych zapustach,

Pasiecznicy po borach, owczarze koszarach

Najczęściej na dutkach grają i fujarach.

Rozrywali je więc sobie i spiewali wszyscy i wszędzie, a najczęściej przy biesiadach wesołego humoru niepozbowionych. Do nas one jednak nie doszły; natomiast przechowały się do naszych czasów trzy większe utwory z młodzieńczego życia poety, do których materiału dostarczyły lata 1619—1623, pełne wrażeń dla mieszkańców miasta Lwowa.

Najpierw w r. 1619 ciągnęli przez Lwów sławni Lisowczycy, których król polski Zygmunt III. wysłał był na pomoc cesarzowi Ferdynandowi II. podczas owej pamiętnej wojny trzydziestoletniej (r. 1618—1648).

Założycielem tego oddziału był Józef Lisowski, szlachcic z Pomorza, walczący po stronie obu Dymitrów w czasie równie pamiętnej wyprawy moskiewskiej, kiedyto nadzieja łupu wabiła z Polski chmary awanturniczego żołnierza, plądrującego i niszczonego przestronne carstwo północne. Lisowski zebrał podówczas około 10.000 jezdynych i na czele

ich przebiegał wzdłuż i wszerz Moskwę, niszcząc i rabując głównie dla swej własnej korzyści. Ze zgrozą wspominają kronikarze moskiewscy o tym niezrównanym i nieustraszenie śmiałym partyzancie, który dotarł do Wołgi i Uralu, do Finlandyi i niemal morza Lodowatego.

Wspólność celów zebranych tu razem niespokojnych żywiołów. tudzież wspólność trudów i niebezpieczeństw razem przebytych sprawiła, że oddział nie rozwiązał się po śmierci Lisowskiego, lecz przyjąwszy od swego założyciela nazwę Lisowczyków lub Kozaków Lisowskich, obrał sobie innych dowódców i szerzył dalej dzieło zniszczenia rzekomo w imię i obronie wojsk polskich. A nawet gdy padły już ostatnie strzały i pokój zawitał do strapionej krainy północnej nie rozeszli się Lisowczycy do domu, lecz idąc za często ponawianym przykładem cudzoziemskich wojsk zaciężnych, przekroczyli w zbitej masie granice państwa polskiego i domagali się żołdu, który im się prawnie nie należał. Gdy zaś rząd królewski nie miał chęci zaspokojenia ich urojonych pretensyi, ani też możliwości z powodu pustek w skarbie, wówczas zaprawiony na rabunkach w kraju nieprzyjacielskim żołnierz nie wahał się targnąć na dobra królewskie i prywatne i prowadził dalej w ojczyźnie to, w czem za granicami jej tak znakomicie się wykształcił. Sypały się też skargi i procesy do trybunałów sądowych, do króla i hetmana Żółkiewskiego, i już powolne ramię sprawiedliwości Rzeczypospolitej byłoby może dosięgło wojowniczych junaków, gdyby ich przed niem nie zasłoniły najpierw grożące niebezpieczeństwo ze

strony potężnej Turcyi, a potem i wojna trzydziestoletnia, która w samą porę wybuchła na zachodzie, aby i pozbyć się na razie niesfornych obrońców, i przecież zachować sobie pomoc tak doświadczonych wojowników na wypadek zawieruchy z Turkami. Szli więc Lisowczycy we wrześniu r. 1619 na pomoc cesarzowi, szli z całym taborem przez Lwów i dali możność naszemu poecie, by się im lepiej przypatrzył i dokładniej poznał ich zwyczaje i obyczaje. Wynikiem tej naocznej obserwacji, a nadto i rezultatem tego, co się ustawicznie słyszało o niespożytem męstwie i niebywalej drapieżności Lisowczyków, był poemat Zimorowicza: *Żywot Kozaków Lisowskich a także i potyczki ich szczególne wydany roku Pańskiego 1620*.

Zimorowicz nie doznał od Lisowczyków żadnej ciężkiej krzywdy, aby na nich miał żółć swą wylewać, a równocześnie przypatrzył się im zanadto dobrze i żył jeszcze pod zbyt świeżem wrażeniem wiadomości o ich drapiestwie, by miał wynosić pod niebiosy ich brawurę i być ślepym na przywary. On tych junaków, do niedawna jeszcze niezwykłą aureolą otoczonych, musiał raczej pojąć ze strony lepiej do jego ówczesnego usposobienia przypadającej, ze strony komicznej i śmiesznej, z powagą obrońców wiary i ojczyzny nie licującej, do której Lisowczycy nie mało mogli mu dostarczyć barw, tak swoim kosterstwem i hulaszczem życiem, jak niedbałością o wygląd zewnętrzny i skłonnością do kradzieży i przesadnych pochwałek. Toteż *Żywot Kozaków Lisowskich* mógł zostać tylko tem, czem rzeczywiście jest t. j. poematem

Δ częściowo satyrycznym, a częściowo humorystycznym.

Zaraz u wstępu na odwrotnej stronie karty tytułowej spotykamy drzeworyt, który nibyto herb Kozaków Lisowskich ma przedstawiać, a równocześnie bliżej określa stanowisko, zajęte przez Zimorowicza w poemacie. Na niem to widzimy Lisowczyka na beczce siedzącego i prawą ręką obejmującego naczynie w kształcie garncowej blaszanki z otwartą pokrywą, a lewą przychylającego do ust kufel widocznie jakimś ognistym płynem napełniony. Po prawej jego stronie stoi bóg wojny, Mars, podobny do towarzysza pancernego z tarczą w prawej ręce, ze strzelbą w lewej i ze szablą przypasaną do boku, po lewej zaś stronie bogini miłości Afrodyta z Cypru, okryta suknią z lekka narzuconą, trzymająca w lewej ręce strzałę, a w prawej serce ogniem palające. Poniżej w przegrywce wstępnej czytamy następujące wiersze :

Otóż zacni junacy pobratyma macie,

Na baryle siadł sobie jako w majestacie.

Mars stoi, jako giermek, dodaje mu rady,

Żeby się miał do wojny częstej i do zwady.

Arcyksiężna zaś z Cypru rozkoszy mu chwali

I ogniem przeraźliwym serce jego pali.

On na to czyli nie dba, czyli być upitym

Woli, niżli wszetecznym abo więz zabitym,

Spytajcież go samego. Ja o tem nie mówię;

On wam, skoro ten kufel spełni, wnet odpowie.

Tego ironiczno-humorystycznego tonu, w jaki odrazu uderzył na wstępie, nie opuszcza poeta i w dalszych czterech pieśniach, lecz zacząwszy



dowcipnie poemat nibyto na wzór sławnej Enejdy Wergiliusza :

Mężów walecznych spiewam, których Mawors krwawy

Z dyamentu ukował dla swej zabawy,

Wławszy na nie potyczki i gęste zwycięstwa,

Dziedzicami poczynił je swojego męstwa,

walczy dalej humorem i ironią niemal aż do końca, kreśląc równocześnie ważniejsze Lisowczyków przywary drastycznemi i pełnemi komizmu barwami.

Krótki ten zresztą poemat, 182 wierszy nie przenoszący, powstał w ciągu niewielu dni, obmyślany i napisany od jednego rzutu najprawdopodobniej w miesiącu sierpniu lub wrześniu r. 1620 pod wpływem wieści o rabunkach i brawurze Lisowczyków w walce z protestantami. Stąd pewien pośpiech i niedbałość w rymowaniu, stąd układ i środki, których poeta używa, są nader proste. Mimo jednak brak staranniejszej artystycznej kompozycji nie powiedziałbym, by poemat czytał się nieprzyjemnie lub nie wywierał dodatniego wrażenia. Jest w nim zawsze spora doza rodzinnego i swojskiego humoru i dowcipu, opierającego się przeważnie na zwrotach z życia i potocznej mowy wziętych, którym jeżeli się lepiej przypatrzymy, musimy przyznać wiele komizmu i plastyczności. Jak Jowialski Fredry sypie jakby z rękawa przeróżne przysłowia i bajeczki, tak młody Zimorowicz wydaje się jakby skarbnicą zwrotów dosadnych i dowcipnych, z otoczenia przejętych. Widocznie nie zamykał się poeta w domu, ale, jakto poznaliśmy poprzednio, żył w wesołym gronie towarzyszy, od których umiał przejąć niejeden wyraz trafny i niejeden frazes oryginalny.

Swobodę myśli, jaką Zimorowicz okazał przy pisaniu Żywotu Kozaków Lisowskich, przerwał szcęk oręża i odgłos walki, jaka w r. 1620 i 1621 odegrała się pod Cecorą i Chocimem, nie daleko od granic czerwonoruskiej prowincyi. Wiadomość o klęsce cecorskiej (r. 1620) i zabiciu hetmana Żółkiewskiego spadła jak piorun na mieszkańców Lwowa i wywołała ogólne przerażenie. Przez rok też następny (1621) stolica Czerwonej Rusi gościła w swych murach najznakomitszych dostojników wojskowych i widziała liczne oddziały, strojno i buńczuczno pod Chocim spieszące, a między nimi także po raz drugi i Lisowczyków, spieszenie z monarchii austryackiej odwołanych. W lutym już przybył hetman Karol Chodkiewicz z Stanisławem Lubomirskim. Za nimi jak żorawie ciągnęły ustawicznie pomniejsze oddziały, zatrzymując się we Lwowie i modląc w kościele katedralnym, ciągnęły powoli i wozy pełne żywności i amunicyi, dodając otuchy mieszkańcom, wyczekującym z obawą wyniku zapowiedzianej walki. Pierwszego sierpnia nadjechał królewicz Władysław z doborową piechotą niemiecką; miasto całe wyruszyło na jego spotkanie i poza obrębem murów przedstawiło mu swoją siłę zbrojną, do której wliczała się i zaimprovizowana jazda, przeważnie z Ormian złożona. I królewicz ruszył następnie do obozu, a zaraz na zajutrz po jego odejściu ukazały się na niebie łuny pożarne i doszły do Lwowa wieści o bliskich zagonach tatarskich. To Kantymir Murza palił okoliczne włości i niemałego strachu nabawił Lwowian, zwłaszcza, że z pod Chocima nieraz całymi dniami za-

dnej wiadomości nie było. Tak żyli mieszkańcy między trwogą a nadzieją, dopóki 5. października sam król wreszcie nie nadciągnął, przyjęty mową łacińską przez burmistrza Marcina Kampiana i obdarzony podarunkami, na jakie miasto stać było. Obecność króla, w niższym zamku mieszkającego, uspokoiła umysły tem bardziej, że i szlachta prowincyi ruskiej ściągnęła się tłumnie do Lwowa i popolite ruszenie z Małopolski stanęło wreszcie, choć zapóźno, pod jego murami. Zapóźno, gdyż niedługo potem nadbiegł goniec, który doniósł o zawarciu możliwie korzystnego pokoju i trwożnym oczekiwaniom mieszczan lwowskich stanowczy kres położył. Dziękczynne i szczere modły w kościołach lwowskich zakończyły niepewność sytuacji, ale nowym wrażeniom końca jeszcze nie było. Obrazek zmienił się teraz, bo zamiast wspaniałe wjeżdżających zwycięzców powracały niedobitki wynędzniałe od głodu i strawione chorobami. Administracya wojskowa nie troszczyła się o nie, a pieniędzy nie było w skarbie Rzeczypospolitej. To też ci obrońcy ojczyzny ginęli marnie po podsieniach, lub trzęsąc się od zimna i głodu stawali przy drzwiach kościołów, prosząc litościwych o jałmużnę. Tak trwało dopóty, dopóki miasto nie spełniło obowiązków rządu, niedobitkami nie zajął się energiczny Kampian i nie zaopiekowali się mieszczańskie. Ponieważ szpitala dla chorych nie było, przeto sami mieszkańcy rozebrali żołnierzy między siebie i gościli i żywili ich tak długo, dopóki nie powróciły im dawne siły. Pomoc jednakże przysłała, zdaje się, za późno, gdyż pomimo niej zmarło około 2.000 ludzi, na lepszy los zasługujących.

Bądź co bądź choć zwycięstwo nie było zupełnem, przecież wrażenie stoczonej walki odezwowało się potężnem echem tak w kraju jak i za granicą. Potrzeba było wyteńczyć wszystkie siły, aby odeprzeć tego wroga równie silnego, jak i strasznego dla całej południowej i środkowej Europy. Wyteżono je i odparto; teraz więc z kolei uczucie dumy mogło słusznie zawładnąć sercem każdego Polaka i wpoić w niego usprawiedliwione całkiem przekonanie o potędze własnej ojczyzny, która zmusiła do odwrotu najpotężniejszego z monarchów europejskich i nie dozwoliła mu postawić stopy we właściwych Polski granicach. Toteż kiedy otrząśnięto się ze smutnego wrażenia, jakie na naocznym świadku mógł wyrzucić widok wracającego z wyprawy, wygłodzonego, wynędzniałego wojska i kiedy nadeszły wieści o uniesieniu, z jakim w całej Europie chrześcijańskiej przyjęto wiadomość o zniweczeniu planów pychę nadętego Osmana, wówczas pod wpływem walki za wiarę i kościół katolicki posypały się opisy prozą i wierszem, wysławiające dzielność i moc oręża polskiego. Do nich przyłączył się także utwór Bartłomieja, trzy razy dłuższy niż poprzedni *Żywot Kozaków Lisowskich*, utwór epiczny p. t. *„Pamiętka wojny tureckiej, w roku 1621 od polskiego narodu podniesionej i szczęśliwie za łaską i dobrodziejstwem miłego Boga dokonanej. odnowiona i do druku podana w Krakowie 1623 r.*

Autor idzie tu śladem mistrza Jana Kochanowskiego, który w jednym z swoich utworów opisał porzeczec wręczony przez Zygmunta Augusta księciu pruskiemu Albrechtowi Fryderykowi, gdy tenże

na sejmie lubelskim r. 1569 składał hołd królowi polskiemu. Kochanowski przedstawia sobie, że na tym proporcju wyhaftowano ziemie polskie i pruskie, boje Polaków z Krzyżakami i inne ważniejsze szczegóły z dziejów naszej ojczyzny. Zimorowicz naśladowując go opowiada nam również, że na nagrobku zmarłego pod Chocimem hetmana Chodkiewicza wyryto pole bitwy, oddziały wojsk polskich i tureckich, tudzież same dzieje długotrwałej walki. W szumnych wyrazach opisuje to wszystko po kolei i kreśli wypadki chronologicznie, dzień za dniem, przyczem korzystna widocznie z jakiejś pisanej relacyi lub nader szczegółowego opowiadania świadków naocznych, skoro umie oznaczyć, kiedy i którego dnia poległ bohaterską śmiercią każdy z rotmistrzów lub znakomitszych towarzyszy. Taki kronikarski sposób przedstawienia nie nadaje się do poematu epicznego i nie może wywrzeć na czytelniku korzystniejszego wrażenia. Zimorowicz nie umie ugrupować przedmiotu i szczegóły wybitniejsze wysunąć naprzód a podrzędne zostawić w półcieniu. Wszystko traktuje równomiernie, a przytem sili się na zwroty szumne, obok których jednak nie gardzi wyrazami, dobrymi jedynie w mowie potocznej.

Wśród powodzi szczegółów zasługuje na korzystne wyróżnienie jeden tylko ustęp, opiewający wycieczkę Tatarów z pod obozu Chocimskiego na Podole i Ruś Czerwoną. Historia nas poucza, że i wtedy zebrali Tatarzy plon bogaty i uprowadzili w jasyr wiele brańców i branek. Świadomość tego porusza żółć gniewu w poecie, potęguje natchnienie

i wydobywa dość ostrą skargę, której wyrazem następujące wiersze:

To żałosna nad wszystko: Kantymir z Podola  
Na kamienieckie wraca kosz tatarski pola.  
Niestetyż! Kto tu może suchem pojrzyć okiem?  
Patrząc, jako gościńcem pohaniec szerokim  
Pędzi ruskie czeredy, a w który kąt wpada,  
Zajmuje niepochybnie wychowale stada.  
Pędzi przestronnym szlakiem czabany rogata,  
Pędzi owce wypasłe i capy brodate.  
Tymczasem się osady zapalone kurzą,  
I sioła i miasteczka małe przed tą burzą,  
Ani świątnice Pańskie w całości zostają,  
Bo i dwory ziemiańskie i chłopskie gorają  
Zagrody. Ej cny Lachu! jako takie szkody  
Cierpisz? Zbójca niktzemny pustoszy twe grody,  
Twą majątność dziedziczną, ojczyznę twą pali!  
Ojciec i matka twoja od pogańskiej stali  
Ach umiera! Dzieteczek twoich krwią niewinną  
Napawa swe oręże, ozdobę dziecinną  
Cór twoich ukochanych wespołek z twą żoną  
Na zelżywość i hańbę pędzi nieskończoną.  
Co rzeczesz? jeżeli cię gniew słuszny nie ruszy.  
Gdy twe serce jedyne, gdy twojej część duszy,  
Gdy twoją krew i orszak domowej czeladzi  
Pies plugawy do wiecznej niewolej prowadzi.  
Teraz, o teraz powstań! a za takie szkody  
Jakiej możesz żelazem dziś dochodzić nagrody!

W tym samym roku, co „Pamiętka wojny tureckiej“ ujrzał światło dzienne trzeci z kolei młodzińczy utwor Zimorowicza: „*Testament luterski żartownie napisany*“ (Kraków 1623), Powód do niego

oprócz ówczesnych wojen i swarów z protestantami dała przedewszystkiem uroczystość, którą w r. 1622 urządzili OO. Jezuici z okazji ogłoszenia dwu nowych świętych: Ignacego i Ksawerego. Przez osiem dni podówczas od 19 do 26 czerwca odprawiano uroczyste procesye wśród odgłosu trąb, okrzyków młodzieży szkolnej, wystrzałów z 80 armat i moździerzy, puszczano niezliczoną ilość ogni sztucznych, urządzano przedstawienia sceniczne, zapasy i goni-twy, i palono wreszcie manekiny rozmaitych kacerzy, przyczem odpoczywały wszystkie pracownie i były zamknięte wszystkie sklepy.

Na tak wielką skalę urządzona uroczystość musiała wrazić się głęboko w duszę Zimorowicza i podniecić jego żarliwość religijną. Wymierzył więc piórem atak na protestantów, namiętny i gwałtowny, o którym dobrego przekonania nabrać nie możemy. Zwroty humorystyczne mają tu działać na czytelnika mocą sprzeczności z zasadami wiary katolickiej i zwyczajami każdego prawego chrześcijanina, atoli wrażenia właściwego nie wywierają, bo grzeszą nieprawdopodobieństwem i zbyt wielką przesadą. Nie mówię zaś już nic o innym rodzaju wywoływania wrażeń komicznych, zapomocą zelżywych wyrazów, gdyż te wobec ludzi spokojnych i wykształconych nie tylko celu chybiają, ale przeciwnie wywołują wprost niesmak i oburzenie.

Z całego utworu na wyróżnienie zasługuje chyba tylko wizerunek dyabłów, jak ich sobie młody Zimorowicz w swojej fantazyi wyobrażał. Dyabły „Testamentu Luterskiego“ nie są to istoty sztuczne i potężne, ale raczej wesołe i śmieszne: Czarnej barwy,

z ogonem, o dwu lub więcej rogach, lubią wino, wznoszą przy uczcie toasty na cześć „dyabłowic“, wchodzą z ludźmi w przymierze, pojedynkują się z nimi, i mogą zatonać lub zamarznąć, jak każdy śmiertelnik. Zapewne przydał im autor dla humoru niejedną śmieszną cechę, ale w gruncie rzeczy wizerunek to podobny do tego, jaki do dzisiaj żyje w fantazyi ludu wiejskiego.





## II.

# Wiek męski

(r. 1623—1648).

Smutnie dla Lwowa zakończył się rok 1623. Karmelita Duratius zawlókł z sobą z Krakowa morowe powietrze, które rozszerzyło się wnet z niesłychaną gwałtownością po całym mieście. Ustał handel, ustały wszelkie zajęcia, rozprzęgły się i zerwały wszystkie węzły, ludzkość z sobą łączące. Kto tylko mógł, uciekał w góry lub do miejsc niezarażonych, a ci, co przykuci do ziemi musieli pozostać, ci unikali siebie wzajemnie jak ognia i woleli raczej w domu zostawać i z głodu przymierać, niż wyjść na ulicę lub zająć się czemkolwiek. Piekarze przestali chleb wypiekać, a rzeźnicy mięso sprzedawać. Głód i drożyzna powstały równocześnie z tem straszmem widmem, co nie znało litości i żadnych względów. A na tę zmorę nie było żadnego lekarstwa. Ówczesna medycyna we Lwowie, raczej zaboronna niż na nauce oparta, nie znała żadnego środka i błędziła w labiryncie nedorzeczných praktyk przez łatwowiernych ludzi podawanych, a przez lekarzy z równą łatwowiernością przyjmowanych.

W tym czasie, którego okropność siliłbym się nadarmo opisać, w tych strasznych tygodniach, podczas których grabarze upadali ze znużenia, pozostał na stanowisku i nie stracił przytomności umysłu tylko jeden, jedyny człowiek. Był nim energiczny i żelaznej woli Marcin Kampian, ten sam, który zajął się o rok wcześniej niedobitkami wyprawy Chocimskiej. Jego to zbiegli rajcy zamianowali dyktatorem, jemu to, jak ongi za czasów rzymskich, powierzono nieograniczoną władzę i nieograniczoną swobodę działania. Kampian nie zawiodł położonego w nim zaufania i w tym czasie ogólnego rozprężenia, kiedy 20.000 ludzi śmierć znalazło, dotrwał do końca na swoim stanowisku. Zawsze czynny i zawsze na nogach, od świtu do zmierzchu, robił co tylko mógł: uprzątał trupy, sprowadzał żywność, karał złoczyńców i czyścił miasto. On to uratował resztki mieszkańców od zagłady i zasłużył sobie tym jednym czynem na lepszy los, niż go później spotkał.

Młody Bartłomiej uciekł podówczas aż za Wisłę, a gdy znowu pod rodzinną powrócił strzechę, musiał być świadkiem innego jeszcze nieszczęścia, jakie w tym okropnym roku Lwów nawiedziło. Rozsrożył się z kolei żywioł ognia i pochłoniął przeszło tysiąc domów i 7 świątyń katolickich. Niezwykłemu rozszerzeniu się płomieni sprzyjało głównie to, że skutkiem wyludnienia zabrakło rąk do gaszenia, a część domów stała pustką. Lwów po tych dwu klęskach wyglądał jak ruina. Wszędzie zgłiszcza, wszędzie ślady dopiero co przebytej zarazy. Trzeba było usilnej pracy i niemałego zasobu energii, aby miastu dawną postać

przywrócić. Mieszkańcy pracy w istocie nie żałowali i rany powoli zablizniać się poczynaly, zwłaszcza że Kampian pożyczył miastu pieniędzy i zatrudniał ludzi biednych przy podjętych świeżo robotach publicznych.

Nie potrzebuję nadmieniać, że klęski r. 1623 wryły się głęboko w wrażliwą duszę młodego jeszcze Zimorowicza, wpłynęły niewątpliwie na zmianę jego usposobienia i wyrobiły w nim ten hart duszy i tę męską siłę woli, która każe mu później z niewzruszoną równowagą umysłu znieść wszelkie nieszczęścia i zastósować się do danych warunków. Przechód od wesołości młodzieńczej do rozwagi i sprytu poważnie myślącego męża odbywał się z pewnością powoli i stopniowo, ale odbywać się już rozpoczął. Młody poeta palestrant poczyną teraz dbać więcej o przyszłość i stara się przede wszystkim o zatwierdzenie go w charakterze obrońcy sądowego. Zatwierdzenie wnet pozyskał i 7. października r. 1624 występuje po raz pierwszy przed sądem radzieckim (miejskim, z rajców złożonym), jako zaprzysiężony obrońca prawny Andrzeja Strzeleckiego przeciw Gabryelowi Langiszowi, Rusinowi i ruchliwemu kupcowi lwowskiemu.

Z tą godnością łączyła się sprawa inna, sprawa pozyskania praw i przywilejów mieszczanina lwowskiego. Dotychczas był bowiem tylko przedmieszczaninem halickim, a jako taki nie mógł żadnej godności w mieście piastować, ani też nikogo przed sądem miejskim zastępować. Kto mu do tego dopomógł? Zapewne przede wszystkim własny spryt i własne zdolności, ale obok tego i wpływowy dobrodziej, którego nazwiska nie zapomniał nam podać

Zimorowicz. Był nim bardzo bogaty i przez samego króla nadzwyczaj ceniony złotnik-jubiler i rajca lwowski, Mikołaj Siedmiradzki. Bez wyższego wykształcenia, ale niepospolicie biegły w swoim rzemiośle, zwiedził całą niemal Europę i jak inni rozszerzywszy ten sposób drogą doświadczałą zakres ogólnych wiadomości i wiedzy fachowej, doszedł do najwyższej w mieście godności i stał się niemal wyrocznią w kwestiach jubilerskich dla lwowskich złotników.

Jakie powody mogły zbliżyć młodego podówczas Zimorowicza do 70 letniego prawie starca-złotnika, bliżej niewiadomo. Dla nas zresztą wystarczy, że był to ze strony Siedmiradzkiego stosunek wielkiej życzliwości dla wybijającego się plebejusza, skoro, jak się wyraża obrazowo Bartłomiej, i muzy jego przedmiejskie obywatelstwem obdarzył i umożliwił mu małżeństwo z bliską krewną swej żony, Jadwigi Długoszównej.

Uzyskawszy obywatelstwo lwowskie, mógł Zimorowicz już bez przeszkody oddać się zajęciom obrońcy sądowego i doradcy prawnego. A było to zajęcie nader intratne i zyskowne. W kupieckim Lwowie prawie każdy z mieszczan miał co chwila z sądem do czynienia, to zawierając kontrakt kupna i sprzedaży, to ścigając dłużnika lub dochodząc doznanej od przeciwnika krzywdy. A że kupcy i rzemieślnicy podobnie jak dzisiaj, na prawie nie rozumieli się, przeto na każdym niemal terminie upraszali o odroczenie sprawy, aby pójść do prawnika, z nim się naradzić i dopiero we dwa dni później jawić się po raz drugi z nowymi dowodami i argumentami,

spisanymi na przyniesionem ze sobą piśmie. Często też kupiec na terminie wcale się nie jawił, lecz mianował wprost jednego z obrońców pełnomocnikiem swoim i zastępcą prawnym dla pilnowania i prowadzenia raz rozpoczętej sprawy.

W pierwszych pięciu latach (1624—1628) czynności adwokackiej, przerwanej jedynie ucieczką na wieś podczas powtórnej zarazy w r. 1625, składają się na klientelę Zimorowicza przeważnie tylko ruchliwi Ormianie i biedniejsi mieszczenie. Z obowiązków jednak musiał wywiązywać się wcale dobrze, skoro za Ormianami i klasą uboższą mianują go swym pełnomocnikiem były przełożony Bartłomiej, pisarz Albert Zimnicki, rajca Jan Alembek i nawet sam ów zasłużony i przedsiębiorczy Marcin Kampian, gdy prawie całe miasto w r. 1627 powstało przeciw niemu. A była to zacięta i pełna znaczenia walka. Marcin Kampian zapomocą energii i kapitału doszedł był z czasem do takiej potęgi, że można go było słusznie nazywać dyktatorem miejskim, kierującym losami Lwowa według upodobania. Lecz już w cztery lata po owym pamiętnym roku 1623, kiedy to Kampian zdziałał tyle dobrego, podnosi się niemal całe miasto przeciw niemu, zrzuca z godności rajcy lwowskiego i wytacza proces o nadużycie władzy i niesumienność w administracji. Kampian broni się jak lew, lecz wreszcie musi uleść. Choć sam król bierze go w opiekę i przywraca mu dwukrotnie godność rajcy, to przecież ubóstwiany niedawno burmistrz, który chronił miasto od ostatecznej zguby, upada ostatecznie i umiera w r. 1629, opuszczony prawie od wszystkich. Jednym z nielicznych obroń-

ców Kampiana był właśnie Zimorowicz, który nie wahał się go zastępować w sądzie, choć wiedział dobrze, że przez to naraża się na nienawiść bardzo wielu patrycyuszów.

Ze wzrostem klienteli rośnie, dobrobyt poety, który, rozszerza posiadłość ojcowską na Łyczakowie przez zakupno przylegających domków i sadów i równocześnie żeni się z Katarzyną Duchnicówną, córką Anny Długoszówny i złotnika Szymona Duchny Dymideckiego. Wesele odbyło się 28 lutego 1629 r; na niem młodszy brat Bartłomieja, Szymon, wręczył młodej parze wspomniane wyżej Roksolanki, w których brata nazywa Rozymundem, a jego małżonkę Lilidorą.

Wskutek tego małżeństwa spowinowacił się poeta z wybitniejszymi rodzinami w mieście i utorował sobie drogę do przyszłych godności. Wybór był zresztą i pod innym względem szczęśliwy. Katarzyna Duchnicówna, to prawdziwa mieszczałka lwowska: niewielkiego wykształcenia, ale za to nadzwyczaj przykładowa, rzadna i gospodarna, umiała pozyskać sobie przywiązanie męża i stać się mu osłodą w chwilach nieszczęścia, które niedługo na siebie czekać kazało.

W cztery miesiące po ślubie doszła Bartłomieja wiadomość o śmierci ukochanego brata w Krakowie, dokąd udał się był 24 letni autor Roksolanek. W rok później umiera dobroczyńca Zimorowicza Siedmi-radzki, a w kilka lat potem schodzą z tego świata stary ojciec Ozimek i siostra żony, Anna Massarowa.

Więcej jednak niż zgon brata, opiekuna, ojca i szwagrowej dotknęła boleśnie Bartłomieja śmierć

czworga dziątek, ukochanych zarówno przez obojga rodziców. Był to cios okropny, — okropniejszy rozmiarami i kilkakrotnem powtarzaniem się, bo godził w serce ojcowskie cztery razy, dopóki mu nie wydarł całego potomstwa. On to tłómaczy nam dalszą zmianę w usposobieniu poety, on wstrząsnął potężnie całym jego jestestwem. I trzeba było prawdziwie żelaznej woli i wielkiego zasobu energii, by wszystko przetrwać i nie oddać się rozpacz. Taką wolę i taką energię okazał w rzeczywistości ten zahartowany na nieszczęściach rodzinnego miasta mieszczanin. Ujrawszy się na świecie sam z przywiązaną małżonką tylko, opuścił na chwilę ręce i na dwa lata (r. 1638 i 1639) zniknął nam z widowni, ale później złożywszy, jak mu religia nakazywała, swoje cierpienia Bogu na ofiarę, rzucił się napowrót w wir wypadków i rozwinął jeszcze większą działalność, jakby chcąc zapomnieć o wszystkim, co go tak żywo i boleśnie dotykało.

Z początku w pierwszych latach pożycia małżeńskiego, nim jeszcze śmierć dokonała zniszczenia w domu poety, wzrasta ciągle sława Zimorowicza jako obrońcy sądowego. Do klientów jego teraz obok Ormian zaliczają się także kupcy z Krakowa i zagranicy, nader wpływowi mieszczanie, a nawet wybitniejsi duchowni i członkowie znakomitych rodzin szlacheckich. Rośnie też ciągle majątek Bartłomieja tak, że już w r. 1635 po śmierci powinowatej swej Anny Massarowej może od jej spadkobierców kupić trzecią część kamienicy Massarowską zwanej za 2.000 złp., (mniej więcej 4000 fl. w. a.). Środków pieniężnych ma teraz widocznie już dosyć, skoro

w r. 1638 skutkiem nieszczęść rodzinnych może porzucić intratny zawód patrona sądowego, usunąć się w zacisze domowe i poświęcić zupełnie gospodarstwu i studjom literacko-historycznym. Kiedy zaś uśmierzył się już ból, co szarpał nielitościwie jego serce ojcowskie, wówczas wraca na widownię i dostępuje nowej godności. Oto 22. lutego 1640 r. po śmierci Alberta Zimnickiego mianują go rajcy lwowscy pisarzem urzędu radzieckiego i wprowadzają natychmiast w urzędowanie. Odtąd przez lat sześć mieszka Zimorowicz w kamienicy Stanowskiej, pisarzom przez miasto do dyspozycji oddanej, przy ulicy dawniej szewską, dzisiaj trybunalską zwanej.

Obowiązki pisarza spełnia Bartłomiej sumiennie i ku zadowoleniu przełożonych rajców. Równocześnie po śmierci swych sióstr, Agnieszki Wrzeszczowiczowej i Teresy Gawłowskiej, bierze ich dzieci, syna i córkę na wychowanie, a gdy i sędziwa matka w r. 1644 zeszła z tego świata, wówczas z dość znacznych dochodów, które teraz miał jako pisarz za wciąganie do aktów przeróżnych pism sądowych, kupuje na własność winnicę Hazowską czyli Osmolskiego, u stóp Wysokiego zamku, za dzisiejszą strzelnicą. Tam się też urządza, jak może najwygodniej, tam trudni się uprawą winnej latorośli i mieszka zawsze przez lato w otoczeniu uroczej natury.

Wśród takich to okoliczności i takiego krzątania się nadszedł r. 1646, a z nim i nowy tryumf dla Zimorowicza. Na dorocznej elekcji odbytej 22. lutego wybrano go ławnikiem czyli członkiem ławniczego sądu i jednym z dygnitarzy miejskich, a we



dwa lata później w r. 1648 posunięto do najwyższej godności, jaką miasto rozporządzało, do godności rajcy czyli konsula i burmistrza lwowskiego. Odtąd ten syn murarza i dawniejszy przedmieszczanin należał do nielicznej garstki patrycyuszów miasta i jako jeden z jego najwyższych dostojników wpływał na bieg spraw stolicy Czerwonej Rusi. Był to chyba szczyt młodocianych marzeń i rojeń naszego<sup>1</sup> poety, które przeszły teraz w rzeczywistość zapomocą usilnej pracy i niemałej wytrwałości. Zanim jednak przyjrzymy się losom, jakich doczekał się na nowem stanowisku, poświęćmy jeszcze słów kilka utworom, które tymczasem wyszły z pod jego pióra.

W r. 1633 ukazuje się w druku najpierw *Ecce Deus, ecce homo*. (Oto Bóg, oto człowiek), łacińska mowa a raczej kazanie o męce Chrystusa Pana. Powstało ono prawdopodobnie pod wpływem śmierci pierworodnego dziecięcia i religijnych rozmyślań, jakim się wszyscy mieszkańcy Lwowa w czasie wielkiego postu oddawali. W Wielki piątek zwłaszcza i podczas dni Krzyżowych odbywały się tłumnie pielgrzymki do kościółka Znalezienia św. Krzyża, przy gościńcu janowskiem położonego, ponieważ według powszechnego mniemania odległość tego kościółka od ratusza miała się równać oddaleniu Kalwaryi od domu Piłata w Jerozolimie. Powbijane przy drodze słupy kamienne oznaczały stacye krzyżowe, a szeregi biczowników postępowały zwolna, smagając się wzajemnie po obnażonych plecach.

Autor, w którym od dzieciństwa tkwiło wiele pierwiastku religijnego, utrwalającego się i potężniejszego z wiekiem i nieszczęściami rodzinnymi, podaje

nam tutaj rozmyślania nad szczegółami owej ciernistej drogi krzyżowej i przybiera je odpowiednio do ówczesnej mody w szatę retorycznych wykrzykników, zapytań i odpowiedzi, przejętych jakby żywcem z Cyserona sławnych mów przeciwko Katylinie. To silnie się na sztuczne figury krasomowcze pozbawia utworu znamienia prawdy i rzeczywistości, choć autor z pewnością głęboko wierzył w to, co napisał.

W dziewięć lat później podczas wielkiego postu r. 1642 powrócił Zimorowicz jeszcze raz do tego samego tematu i w dziełku *Adrocalus mundi* (Obrońca świata) opisał ponownie wszystkie grozą przejmujące szczegóły męki Pańskiej od pojmania Chrystusa w ogroju aż do śmierci Jego na krzyżu, dodawszy do nich znowu obszerne rozmyślania, 'jakby z kazalnicy wygłoszone na temat grzechów ludzkich. Opowiadanie płynie tu wśród jeszcze szumniejszych wykrzykników w sposób nader rozwlekły i nużący. Widocznie przemowny wpływ ówczesnej polsko-łacińskiej literatury panegirycznej przytłumił w autorze szlachetniejsze pojęcia, jakich mógł zaczerpnąć z lektury wzorów starożytnych.

Zupełnie inne okoliczności złożyły się w r. 1634 na trzeci prozaiczny utwor łaciński. Na tronie polskim zasiadł był właśnie król Władysław IV., który ukończywszy świetnie zwyciężką wojnę z Rosyą, zjechał umyślnie do Lwowa, bo z południowych granic nadeszła wiadomość, że następca Osmana, sułtan Amurat VI. gotował się do nowej wielkiej wyprawy na Polskę, chcąc pomścić się klęsk, jakie hetman Stanisław Koniecpolski zadał był Tatarom i turecko-wołoskim zastępom Abazego bazy.

Miasto polskiemu monarsze zgotowało przyjęcie równie serdeczne jak wspaniałe. Wybito ściany z kamienicy królewskiej (dziś ks. Ponińskiego) do Szembekowskiej i Bernatowiczowskiej (Rynek l. 6, 7 i 8) i w trzech tak złączonych domach urządzono apartamenta dla króla i jego najbliższego otoczenia. Równocześnie sporządzono baldachin atłasowy, suto złotem tkany, sprowadzono osobną „furmanką“ orkiestrę ze Żółtkwi, skomponowano dla niej umyślnie hymn powitalny, wystawiono tryumfalną bramę i przyozdobiono ją w chorągwie i przeróżne napisy.

W dniu „szczęśliwego przyjazdu Króla Jego mości“ 26 września 1634 r. dostojnicy szlacheccy i duchowni wyjechali daleko poza Lwów naprzeciw monarchy, a roje szlachty, mieszczan, ludu wiejskiego skupiły się w oknach lub zaległy mury i ulice miasta i przedmieścia krakowskiego. Przed łukiem tryumfalnym czekał w otoczeniu rajców ówczesny burmistrz Lwowa, Maciej Hayder, który też dostojnego gościa witał chlebem i solą i wręczył mu klucze miasta, złożone na szkarłatnym adamaszku. Król odpowiedział łaskawie i wśród nieustannego bicia z dział, okrzyków ludności i odgłosów muzyki zbliżył się do oczekującego go z procesją duchowieństwa, wstąpił pod ów baldachin atłasowy, i ruszył powoli do swego mieszkania. Nazajutrz stawili się u króla rajcy miejscy i ofiarowawszy w darze dwa złote dzbany wartości około 3.000 fl. naszych, zaprosili go na wspaniałą ucztę, która kosztowała mniej więcej 2.000 fl. w dzisiejszej walucie i odbyła się w pomieszkaniu rajcy Marcina Gros wajera, późniejszego obrońcy Lwowa z r. 1648. O kuchnię królewską miało

miasto również staranie, dostarczając do stołu monarchy w wielkiej ilości kawioru, przeróżnych korzeni, wyborowego wina, ryb i innej żywności.

Cały też miesiąc przebywał Władysław IV. we Lwowie. Z początku mieszczanie obok chwil radosnych mieli i smutne, gdyż widzieli znowu wozy naładowane amunicją i innymi przyborami, spieszące na wschód, do armii Koniecpolskiego. Widmo tureckie, odparte u samych granic przed trzynastu laty, zaciężyło ponownie nad spokojnem, handlowi oddanem miastem. Niedługo jednak tak trwać miało, bo oto koło 5 października nadbiegł goniec z listami oznajmującymi, że Turcyja pod wpływem zwycięstw przez Polaków odniesionych zgodziła się na pokój dość niekorzystny dla siebie. Odetchnęli teraz mieszczanie lwowscy i dali wyraz swej radości przez nowe salwy z dział, modły dziękczynne po kościołach, bicie we dzwony i palenie beczek smolnych po ulicach, 20 zaś października jawili się znowu rajcy u króla i gratulując nowego tryumfu wręczyli mu panegiryk czyli utwor pochwalny Zimorowicza, *Vox leonis* (Głos lwa tj. Lwowa, bo nasza stolica używa dotąd lwa wspinającego się, jako swego herbu), w bardzo krótkim czasie napisany i wydrukowany.

7 Natchnienie nie opuszcza tu autora nigdzie, lecz idzie zawsze w parze z głęboką miłością miasta rodzinnego i ojczyzny. Z głębi też piersi płyną mu wyrazy, gdy pocznie mówić o świetnem powołaniu religii katolickiej, o dzielności przodków i króla, a już jako mieszczanin całą duszę nam otworzy gdy przejdzie do uwielbienia pracy pokojowej. Jego odezwa do sprawiedliwości, zamierającej wśród

wrzawy wojennej, brzmi jak cicha i łagodna skarga na niemoc ustaw krajowych i liczne nadużycia ze strony możnych. Dlatego choć to tylko utwor panegiryczny, mógłby przecież *Vox leonis* zaliczać się do lepszych dzieł naszej literatury łacińskiej, gdyby nie owo zbytnie przejęcie się ówczesnym sposobem pisania, które i tu doprowadziło do napuszystości w formie i przesady w treści, choć ówczesna chwila dziejowa nastroczała autorowi dosyć materiału, by nie potrzebował rzeczy przedstawiać tendencyjnie a nawet czasem i niezgodnie z prawdą. To osłabiło znacznie istotne zalety utworu i zepchnęło autora z drogi, której pisarz świadomy środków i celu nigdy opuszczać nie powinien.

Zimorowicz jednak nie poprzestał na panegiryku, ale zapragnął także spróbować sił swoich na polu wymagającym niemałego natchnienia i zmysłu artystycznego, jeżeli mamy się przenieść w kraj inny od doczesnego, w kraj wypełniony urokiem szczegółów, których prawdziwemu chrześcijaninowi nie dano oglądać za życia ziemskiego. Wiara i miłość ku wybranym istotom nadziemskim, które po stracie dzieł ukończyły jego serce ojcowskie, pobudziły także natchnienie Zimorowicza i dały początek dwóm nowym poematom, już nie miłosnym i nie satyrycznym, jak jego młodzieńcze utwory, ale o treści tak czysto religijnej, jak poważnem i spokojnem stało się usposobienie samego poety. Jeden z nich w języku łacińskim napisany ochrzcił poeta skromnem, jak na ówczesne czasy mianem *Iesus, Maria, Ioseph* (Jezus, Marya, Józef), drugiemu zaś nadał również nie szumny tytuł *Hymnów na uroczyste święta Boga*.

*rodzice Maryi*. Oba wydrukowano w r. 1640, oba też podobały się nadzwyczaj już współczesnym, skoro nie szczędzą im pochwał i skoro zaraz w następnym roku okazała się potrzeba powtórnego wydania „*Hymnów*“.

*Iesus, Maria, Ioseph*, to zbiór 27 pieśni łacińskich, napisanych na dzień urodzin Chrystusa do użytku lwowskiego bractwa literatów, obchodzącego za szczególniejszem nabożeństwem msze, znane powszechnie pod nazwą rorat. Nie są to jednak pieśni luźne, ze sobą tylko ogólnie wytkniętym celem powiązane. Przeciwnie, jak w każdej z nich zachowana zawsze symetria, starożytne wzory przypominająca, tak znowu między wszystkimi istnieje naturalny przechód myśli i ścisły logiczny związek. Za jego pomocą łączą się pieśni najpierw w trzy oddzielne części, Chrystusowi, Maryi, Józefowi poświęcone, a w dalszem następstwie w jedną nierozzerwalną całość o osobnym wstępie i zakończeniu, grupującą się koło narodzenia Jezusa, jako oczekiwanego przez wszystkich mesyasza.

Taka symetria w artystycznej budowie całości i jej części, dowodzi oczywiście i niemałego czytania się w prawdziwie szlachetnych wzorach i wielkiego smaku artystycznego, nie mówiąc już nic o tej okoliczności, że autor pokusił się tu o stworzenie poematu w obcej, pracą tylko i nauką przyswojonej mowie. Widocznie w jego i współczesnych przekonaniu powiodły mu się próby na polu prozy łacińskiej, widocznie nabrał śmiałości i czuł wyraźnie, że już w dostatecznej mierze zapanował nad językiem łacińskim.

Nie przejął też Zimorowicz formy z poetów starożytnych, bo tych wrotki i rytmy, nie nadawały się do kolęd i nowszego śpiewu kościelnego, ale raczej sięgnął do średniowiecznej poezji chrześcijańskiej, opartej głównie na rymie i akcencie wyrazów i z pośród wielu wybrał zwrotkę prostą i naturalną, która ochroniła go od szumnej przesady i zgodziła się przedziwnie z charakterem kolęd nowoczesnych. Jeżeli przytem dodamy, że tych 27 hymnów na cześć Jezusa, Maryi i Józefa, posiada wszystko, czego brakło poprzednim łacińskim utworom, że jak tam szumna przesada i silenie się, tak tu przeciwnie naiwna wiara i prostota obok uczucia z serca płynącego, nie owiniętego w niezwykajne słowa i frazesy, lecz nie mniej podniosłego właśnie tą szatą niewinną, co sama przemawia za siebie i choć nie porywa i nie unosi, to przecież roztacza wdzięk miły dla duszy, a silny i potężny harmonią w drobnostkach, to wówczas zrozumiemy, że mamy przed sobą utwor niepośledniej piękności. Najlepiej udały się poecie wiersze bezpośrednio narodziny Jezusa opiewające, bo śpiewał je ojciec, który sam kochał dzieci i pragnął tak gorąco, zachowania ich przy życiu.

Zbliżone do poprzednich, ale więcej poważne i jeszcze więcej natchnione są polskie Hymny na wszystkie obchodzone przez kościół święta Bogarodzicy. Jest ich 12, a dodano jeszcze do nich i sześć pieśni kościelnych, śpiewanych bardzo często przy uroczystościach.

*Hymny!* nie są tak jednolitym utworem, jak *Iesus*, *Maria*, *Ioseph*. Nie ma tu bowiem logicznego przechodu od jednej pieśni do drugiej, ale istnieje jedynie

luźny związek myśli, łączący właściwie hymny tylko o tyle, o ile kościół w dorocznym obchodzie świąt, przedstawia w pewnym chronologicznym porządku, ważniejsze wypadki z życia Panny Maryi. Innemi słowy jest wspólność celu, ku któremu wszystkie pieśni zdążają, ale nie ma ciągłości w budowie. Nadto tak owych dodanych sześć pieśni, jak prawdopodobnie i 12 właściwych hymnów, jest tylko tłumaczeniem z oryginału łacińskiego, ale tłumaczeniem, zaprawionem na Psalmach Kochanowskiego i uszlachetnionem krynicą wysokiego natchnienia i szczerzej, głębszej wiary. Tłumacz umiał się zawsze utrzymać na należynej wysokości i unikając modnych, ale z duchem poezji niezgodnych wyrazów, wołał raczej swój język zaprawić na dawniejszych, pierwszorzędných wzorach literatury polskiej. Nie od kogo innego, ale od Jana Kochanowskiego, ze złotej doby piśmiennictwa naszego, przejął porównania i formę zwrotek i zawładnął niemi tak znakomicie, że i dzisiaj chyba jeszcze przeczytamy z przyjemnością taką pieśń, jak n. p. przytoczoną poniżej: »Na dzień wniebowzięcia Panny Maryi«.

Kto mi da pióra przeważnej orlicy,  
Żebym się wzbiwszy do Boskiej stolicy  
Mógł zajrzeć okiem: dzisiaj świętych święta  
Do nieba wzięta.

Widziałbym, jako w niepojętym gminie  
Zabiegli drogę wielkiej heroinie,  
Jako królową niebieską anieli  
Wdzięczni przyjęli.



Albowiem duchów czystych młódź wesoła  
Wszystkie swe hufy zebrawszy do koła,  
Przygotowała tryumfy wszelakie  
Na wejście takie.

Stały gwiazdy w szyku nieprzejrzanym,  
Zorza się ogniem otoczyła ranym,  
Do tegoż księżyc, zapomniawszy biegu,  
Przybył szeregu.

. . . . .  
Patrząc na usta jej wstydem okryte,  
Górne żywioły stały jak wryte,  
Nawet obrotne nieba się zdumiały,  
Gdy ją ujrzały.

Któraż to dusza ukochana Bogu  
Wiecznych pałaców dostępuje progu?  
Przed której twarzą śliczną gwiazdy z jasną  
Jutrzenką gasną?

Która słoneczne zapały z jasnością  
Nocej pochodni émi swoją światłością?  
Której nad wszystkie Bóg daje stworzenie  
Wyższe siedzenie?

Któraż to z ziemskich pustyń obłądliwych  
Przychodząc, pełna rozkoszy prawdziwych,  
Wspiera się na swym Synu ulubionym,  
Bogu wielonym?

Tać to panienka, która dla głębokich  
Cnót godna tronu w Empirze wysokich,

Która z dwunastu gwiazd przednich złożona  
Zdobi korona.

O! Matko nasza Maryo, o! Pani,  
Przez Ciebie chwały dostali wybrani,  
Przez Ciebie łaski że grzeszni doznamy,  
Nadzieję mamy.



### III.

## Wiek sędziwy

(r. 1648—1677).

Oprócz starszych ormiańskich i ruskich, oprócz przełożonych obu przedmieść i pojedynczych cechów, tudzież 40 przedstawicieli mieszczaństwa dwie były we Lwowie naczelne władze, niejako całe miasto reprezentujące: 12 ławników z wójtem na czele i 12 rajców, z łacińskiego także konsulami zwanych. Pierwsi mieli władzę sądowniczą, drudzy przeważnie polityczną i administracyjną. Jednych i drugich wybierano tylko z grona mieszczan rzymsko-katolickiego wyznania i to dożywotnio, na czas nieograniczony, aż do śmierci. Ławnicy, uzupełniani corocznie z grona owych 40-tu przedstawicieli mieszczaństwa, schodzili się trzy razy tygodniowo na sesye, podczas których przewodniczył im wójt, od r. 1650 wyłącznie z pomiędzy rajców wybierany. Z ławnika też postępowało się na najwyższą godność w mieście, godność dożywotniego rajcy czyli konsula.

Rajcy nie urzędowali wszyscy równocześnie bez przerwy, lecz dzielili się na dwie połowy: 6 czynnych i 6 starych. Czynni czyli urzę-

duj ą c y tworzyli niejako komitet ściślejszy i rządzili miastem właściwie sami przez rok jeden, podczas którego sześciu drugich, starych rajców pozostawało niejako na urlopie i brało udział w naradach tylko bardzo ważnych, obecności całego kolegium wymagających. W następnym roku naodwrot rajcy starzy stawali się zazwyczaj czynnymi, a czynni starymi.

Burmistrzów w roku było zawsze trzech: królewski, miejski czyli gminny i radziecki. Rajcy mianowicie podczas elekcji, corocznie 22. lutego z wielką pompą odprawianej, z grona owych sześciu czynnych, którzy w tym roku urzędować mieli, przedstawiali staroście grodowemu lub jego zastępcy trzech kandydatów na piśmie, a ten wybierał sobie jednego z nich i naznaczał na burmistrza królewskiego. Z dwu pozostałych kandydatów wybierało owych 40 przedstawicieli mieszczaństwa jednego swoim burmistrzem, podczas gdy trzeci pozostały stawał się tem samem burmistrzem „panów konsulów“. Ci trzej po kolei dzierżyli najwyższe rzędy miasta zmieniając się co 4 tygodnie, przyczem burmistrz pierwszy królewski rok zaczynał i kończył.

W r. 1648 odprawiono elekcyą również z wielką okazałością. Dnia 22. lutego po solemnem nabożeństwie zebrali się na ratuszu powołani do uczestnictwa w wyborze. W zastępstwie starosty grodowego Andrzeja Mniszcha, ukazał się pisarz sądu grodzkiego Jan Sikorski, wprowadzony z wielkimi honorami do właściwej sali radnej. Ponieważ wówczas opróżniło się miejsce jednego rajcy po zmarłym Janie Scholcu, przeto na tę godność powołano

Bartłomieja Zimorowicza i pomieszczono równocześnie na liście sześciu rajców czynnych i trzech kandydatów na burmistrza. Sikorski mianował go też burmistrzem pierwszym, królewskim, podczas gdy godność dwu drugich objęli w tym roku doktor prawa, Jakób Doleżyński i doktor filozofii, Mikołaj Zychini.

Jako burmistrz królewski objął Bartłomiej naczelne rządy miasta na przeciąg pierwszych czterech tygodni. Wszystko zdawało mu się teraz uśmiechać wszystko po myśli układać. Już jako ławnik rzucił się do handlu miedzią i innymi artykułami; majątek też jego rósł ustawicznie i doszedł w r. 1648 wysokości 40.000 złp. A że handlu za przykładem innych dostojników miejskich i nadal nie porzucił, i jako konsul miewał z dochodów kasy radzieckiej nieraz 2—3.000 złp. rocznie, przeto mógł się obecnie zaliczać do zamożnych patrycyuszów w mieście. Niestety chwile radości miały trwać tylko nader krótko; nad miastem rozszalała właśnie burza, która podkopała jego dobrobyt i stała się jedną z głównych przyczyn jego długoletniego upadku.

Z końcem kwietnia 1648 r. doszła do Lwowa wiadomość o buncie Chmielnickiego w połączeniu z Tatarami i klęsce pod Żółtymi wodami. W cztery tygodnie później rozeszła się wieść o śmierci króla Władysława IV, a prawie równocześnie i wiadomość o bitwie pod Korsuniem i wzięciu do niewoli obu hetmanów koronnych: Mikołaja Potockiego i Marcina Kalinowskiego. Horyzont zasępił się bardzo, bunt Chmielnickiego przybierał coraz większe rozmiary. Na razie jednak nikt jeszcze rozmiaru przy-

szłych klęsk nie przewidywał. Kozacy przecież tyle razy już powstawali, a przecież zawsze ich zwyciężono. Więc i teraz, kiedy zakipiało w województwach ruskich, a szlachta gromadnie i strojno na wschód ruszyła, uspokoiły się powoli umysły we Lwowie. Mieszczanie poczęli nawet marzyć o zysku i skupowali i gromadzili zboże dla zbierającej się na wschodzie armii.

Dozór nad szpichlerzami miejskimi i zakupnem zboża powierzono właśnie Zimorowiczowi i drugiemu rajcy Maciejowi Hayderowi, podówczas prawie najbogatszemu z mieszczan lwowskich. Obaj skorzystawszy z tego kupowali na własną rękę zboże, a gdy tak wielkiej ilości nie pomieściły spichlerze miejskie, zsypywali je w szopy na przedmieściu. Równocześnie jednak nadeszła wiadomość o przyspieszeniu sejmu elekcyjnego z powodu wypadków zaszłych na Ukrainie. Lwów podobnie jak Kraków i Wilno posiadał przywilej wysyłania na elekcyę dwu posłów czyli tak zwanych internuncyuszów, którzy wraz z szlachtą głosy na nowego króla oddawali. Rajcy na to stanowisko przeznaczili z swego grona Zimorowicza i Marcina Nikanora Anczewskiego, jako najwięcej do tego uzdolnionych. Zdał więc Bartłomiej sprawy spółki i zakupna zboża w ręce swego spółnika Haydera, a sam z Anczewskim udał się do Warszawy, gdzie w istocie 17 listopada oddał głos na Jana Kazimierza.

Tymczasem we Lwowie rzeczy przybrały całkiem odmienny i niespodziewany obrót. Miasto zwycięzców nadbiegli sromotnie 27 września w dzikim popłochu uczestnicy nieszczęsnej wyprawy pilawie-

ckiej, a między nimi i sam książę Jeremiasz Wiśniowiecki. Zamiast radości i zysków trwoga i przestach zapanowały z kolei w spokojnem mieście. Co się dalej stało, zbyt wszystkim znane, bym miał szerzej o tem opowiadać. Dzieje owego pamiętnego oblężenia i straszne sceny, jakich podówczas widownią była stolica Czerwonej Rusi, opisał z niezwykłą siłą sam Zimorowicz w dwu pieśniach: *Burda raska* i *Kozaczyzna*, pomieszczonych niewłaściwie w jego *Sielankach*. Do nich też odsyłam ciekawych, a tu tylko przypominam, że mieszczenie postanowili zrazu bronić się do upadłego. Bogate miasto złożyło w tym celu do rąk Wisniowieckiego prawie milion złp., w gotówce, klejnotach i drogich naczyniach, ale książę zawiódł zaufanie Lwowian i umknął nocą wraz z pieniędzmi, pozostawiwszy miastu na obronę tylko 50-ciu dragonów! Wówczas rozpacz i trwoga nie miała już granic. Obaj pozostali burmistrzowie, Dołężyński i Zychini, tudzież znaczna część dostojników miejskich i zamożniejszych mieszczan umknęła poza San i Wisłę. Tylko rajca Marcin Groszwa, jak niegdyś Kampian, nie opuścił swego stanowiska. On to wraz z pozostałymi mieszczanami nie uląkł się kroci tysięcy Kozaków, Tatarów i zbuntowanych chłopów, ale popaliwszy przedmieścia, przy pomocy obecnego w mieście generała Arciszewskiego bronił się po bohatersku niemal całe trzy tygodnie i nie poświęcił nieprzyjacielowi nawet Żydów, których wydania Chmielnicki natarczywie się domagał. Hetman zaporoński zadowolił się wreszcie okupem niemal pół miliona złp. wynoszącym i 26. października pocią-

gnął pod Zamość, skąd dowiedziawszy się o wyborze nowego króla powrócił na Ukrainę do Kijowa.

Po ustąpieniu Kozaków i Tatarów, mógł i nasz Bartłomiej w grudniu r. 1648, zawitać z powrotem do rodzinnego miasta. Zastał tu dziedziczną posiadłość przy ulicy Glinńskiej zupełnie spustoszoną i spaloną. Również i jego ukochana „winnica“, po za dzisiejszą strzelnicą miejską, uległa znacznemu uszkodzeniu. Pułk kozacki, obrał był tu sobie wygodne stanowisko i winnicę zniszczył a budynki częścią popalił, częścią prawie w niwecz obrócił. Potrzeba było znowu niemałego zasobu pracy i energii, aby rany zadane zabliznić powoli. Taką energię okazali w istocie zahartowani na nieszczęściach mieszczenie lwowscy, taką okazał za ich przykładem i nasz Zimorowicz, który bolom i cierpieniom nieraz już zajrzał w oczy.

Zaraz po powrocie począł się krzątać koło nowego podniesienia zniszczonego majątku, a zwłaszcza koło naprawy dworku i budynków na swej „winnicy“, w której tak chętnie przebywał. Równocześnie nie zaniedbywał obowiązków, połączonych z jego godnością radziecką, ale we wszystkich ważniejszych sprawach, brał czynny i rozumny udział. W r. 1650 z upoważnienia rajców obejmuje w zarząd szpital św. Ducha, czyli raczej dom kalek i ubogich pod tem wezwaniem (bo szpitalów właściwych nie było podówczas we Lwowie), a nieco później zostaje prowizorem drugiego szpitala św. Anny i zarządcą kościoła św. Wawrzyńca na Łyczakowie. Szczególniej dom ubogich św. Ducha, którym zarządzał przez lat 8, dawał mu wiele do czynienia, bo w poprzednich prowizorów wiele fundacyi na rzecz szpitala uczy-



nionych poszło w zapomnienie i czynszów z nich nie wypłacano. Zimorowicz zarejestrował je wszystkie ponownie i podniósł znakomicie dochody tej tak humanitarnej fundacyi. Toteż wpływ jego w gminie wzrasta statecznie i ciągle tak, że przez rok 1654. już obok godności rajcy piastuje równocześnie i urząd wójta czyli przewodniczącego sądów ławniczych.

Wśród tego podwójnego krzątania się przebył nową zarazę, która w r. 1651. po zwycięskiej bitwie pod Beresteczkiem ponownie z równą jak poprzednio gwałtownością grasowała we Lwowie i przebolał śmierć ukochanej małżonki. Katarzyna Duchnicówna, odumarała go w r. 1653. po 24-letniem małżeńskim pożyciu i zostawiła go samego, bez potomków, na straży niemałego już majątku.

Stan kawalerski uważano podówczas we Lwowie za hańbę, stan wdowi za dopust Boży, od którego uwolnić się jak najprędzej należało, przez oczyszczenie się z grzechów i powtórne związki małżeńskie. Że zaś dość znaczne Zimorowicza gospodarstwo, wymagało koniecznie kobiecej ręki, a sam poeta pałał żądzą doczekania się potomka, któryby był dla niego podporą w starości, przeto, choć pamięć pierwszej żony była mu niewątpliwie drogą, nie wahał się więcej i z końcem kwietnia r. 1654 ożenił się powtórnie, tym razem z Ormianką, Zofią Zacharyaszówną, córką zmarłego jeszcze w r. 1646. kupca Zacharyasza Awedykowicza, wyznania ormiańsko - katolickiego. Wesele odbyło się na owej ulubionej przez poetę „winnicy“ ze względu na burzliwe czasy w dość skromnych rozmiarach, wbrew pojęciom ówczesnego polskiego społeczeństwa, które na we-

sela i pogrzeby łożyło nieraz ogromne koszta i do okazałości ich i pompy przykładano nadzwyczajną wagę. Nowa oblubienica wniosła Bartłomiejowi w posagu oprócz wielu klejnotów i kosztowności  $\frac{1}{3}$  część kamienicy Awedykowiczowskiej koło kościoła OO. Dominikanów i 10.000 złp., gotówką, które wnet wypłacił wuj i opiekun jej, nader bogaty kupiec ormiański, Jan Wartyresiewicz.

Niestety na przekór ówczesnym zapatrywaniom Zimorowicz nie miał już być więcej szczęśliwym w pożyciu małżeńskim. Jego druga małżonka po urodzeniu się córki, której nadano imię Katarzyny, zesłała z tego świata w 11 miesięcy po ślubie, z końcem marca r. 1655. Tak po raz drugi ujrzał się Zimorowicz osieroconym przez małżonkę. Pocięgą dla niego mogło być chyba tylko kilkotygodniowe niemowlę, które otoczył w istocie najtroskliwszą opieką.

Równocześnie nastąpiły czasy jeszcze niespokojniejsze, niż w r. 1648. Całą Polskę zalali wrogowie, Szwedzi, Rośyanie i Kozacy, a Chmielnicki z wojskiem tatarsko-moskiewskim zagroził powtórnie stolicy czerwonoruskiej. Zimorowicz podobnie jak inni nie zaufał murom miasta, ale z dzieckiem i gotówką, jaką mógł zebrać, uszedł aż na Węgry, skąd powrócił dopiero pod koniec r. 1655 po ustąpieniu Chmielnickiego.

Lwów tym razem miał o wiele liczniejszą załogę, dowodzoną przez doświadczonego generała artylerji, Krzysztofa Grodzickiego, i o wiele więcej czasu do przygotowania skutecznej obrony. Obronił się też w istocie, i Chmielnicki nie wskórał nic prócz po-

nownego, pięciokrotnie już niższego okupu. Oba jednak przedmieścia, a wraz z nimi i oba dworki Zimorowicza uległy i tym razem całkowitemu zniszczeniu. Bartłomiej wobec sytuacji ciągle jeszcze niepewnej nie odbudowywał więcej popalonych budynków na przedmieściu, narażonem na ciągłe napady nieprzyjacielskie, ale uporządkowawszy winnicę częściowo począł myśleć o stałym zamieszkaniu wśród murów właściwego miasta. Okoliczności złożyły się wnet pod tym względem szczęśliwie.

Od dłuższego już czasu pozostawał nasz poeta w zażyłych stosunkach z rajcą Marcinem Groswajerem, owym wpływowym obrońcą Lwowa z r. 1648. Zimorowicz bywając często u swego towarzysza urzędu, widywał tam jego córkę Rozalię, osobę młodą jeszcze i bardzo dorodną, ale dosyć lekkomyślną i próżną. W lutym r. 1652 wyszła była ona za mąż za Franciszka Złotorowicza, doktora medycyny z miasta Łucka na Wołyniu, ale szczęście nie sprzyjało jej w tem małżeństwie, bo Złotorowicz umarł wkrótce po ślubie, na sześć miesięcy przed przyjściem na świat syna pogrobowca, któremu również na chrzcie imię Franciszka nadano. Młoda wdowa z maleńkim synkiem zamieszkała znowu u ojca tem bardziej, że dwie kamienice w Łucku, należące prawie w całości do nieboszczyka jej męża, zagarnęli zaraz po śmierci tegoż dwaj jego bracia Michał i Jan Złotowicze. Stary Groswajer, sam nader zamożny, nie dbał o majątek zmarłego zięcia i trzymał chętnie przy sobie córkę i maleńkiego wnuka. Kiedy jednak zapadł na zdrowiu, począł niepokoić się bardzo o los swej Rozalii, widząc, że ona z groszem się nie liczy i do powa-

żniejszego zajęcia nie okazuje najmniejszej ochoty. Umyślił jej więc przed śmiercią dać męża statecznego i zaproponował sam Zimorowiczowi, który podówczas znowu wdowcem się ujrzał, by starał się o rękę jego córki. Bartłomiej zgodził się na to chętnie, bo i bogatego wiana się spodziewał i sądził, że Rozalia z czasem się ustatkuje i otoczy opieką kobiecą jego córkę Katarzynę, młodszą jeszcze o lat dwa od młodego Złotorowicza. Rajca Groswajer wpłynął też w tym kierunku na córkę, i na łożu śmiertelnem przy świadkach połączył oboje zaręczynowym pierścieniem.

Po śmierci ojca Rozalia wahała się jeszcze jakiś czas, bo zbyt wielka różnica wieku dzieliła ich obojga, ale wreszcie ulegając woli rodzica oddała rękę Zimorowiczowi w niedługi czas po pobycie Jana Kazimierza we Lwowie i królewskich jego ślubach, złożonych w katedrze. Wesele mimo burzliwych czasów było bardzo huczne, bo tak chciała Rozalia, i odbyło się 28. sierpnia 1656 r. w kamienicy Groswajerowskiej przy ulicy halickiej, gdzie wdowiec i wdowa wraz z dziećmi na razie zamieszkali.

Wiano Rozalii było istotnie bogate. Oprócz pretenzyi do części dwu domów w Łucku, oprócz drogocennych szat, klejnotów, złota i srebra co nie miara, wniosła w posagu część dwu kamienic we Lwowie, dworek z rozległym sadem i ogrodem na Kaleczej Górze, pasiekę, młyn i drugi dworek w Brzuchowicach, gdyż resztę spadku po ojcu posiadał jej młodszy brat Stanisław Groswajer. Majątek to był jednak nadszarpany i nieuporządkowany, bo tych kilka miesięcy, jakie Rozalia po śmierci ojca na własną ręką gospodarowała, wystarczyło, aby część klejnotów zastawić,

a na dobra nieruchome długi pozaciagać. Bartłomiej z całą energią przyprowadza teraz wszystko do porządku. Ściąga zewsząd swoje własne wierzytelności, sprzedaje dziedziczną posiadłość przy ulicy Gliniańskiej i później zakupioną część kamienicy Massarowskiej i za zebraną w ten sposób gotówkę wykupuje zastawy, oczyszcza z długów majątek żony, restauruje budynki w Brzuchowicach i na Kaleczej Górze, gdzie urządził się przyjemnie i często latem mieszka. Szczęście mu też z początku dopisuje, bo już we dwa lata później może z dochodów zakupić kamienicę Kampianowską, odpowiadającą lewej czyli południowej połowie dzisiejszej kamienicy Andriollego (Rynek I. 29.) wybudowanej na jej miejscu w r. 1768. Tu jego odtąd stałe<sup>e</sup> mieszkanie aż do śmierci.

Zakupno kamienicy Kampianowskiej było ostatnim szczęśliwym wypadkiem w życiu Zimorowicza; od tego bowiem czasu przyszło mu walczyć niemal z samemi przeciwnościami.

W owych burzliwych latach Rzeczpospolita utrzymywała we Lwowie niemal stałą załogę wojсковą, której żołnierze często niepłatni i własnym komendantom podlegli, dopuszczali się nieraz nadużyć i formalnej grabieży na mieszkańcach i wymuszali na zwierzchności miasta znaczne kwoty pieniężne. W okolicy również broili ich towarzysze, a hetman i król, nie mogąc sobie inaczej poradzić z skonfederowaniem i buntującym się wojskiem, nakazywali kilkakrotnie miastu przyjść w pomoc skarbowi przez wysoką pożyczkę, której z reguły nie oddawano. Sprawy te często opierały się o Zimorowicza, bo oprócz godności rajcy piastował po raz drugi w r. 1658

i kilkakrotnie później urząd wójta i bywał nieraz „gospodarzem“ czyli przełożonym finansów miasta. Nałożone kontrybucye trzeba było rozłożyć na wszystkich mieszkańców stosownie do majątku, a że skutkiem klęsk i zastoju w handlu miasto zubożało i podupa-  
dło, nie łatwo było podatek ściągnąć i należało nieraz w wypadkach zwłoki nie wymagających nałożyć własnym kapitałem. Jako wójt zawikłał się nadto w sprawę między ławnikiem Żywertem, a włoskimi kupcami Manzim i Manfredim, ich świadkiem dowodowym, szlachcicem Janem Iderskim i najzdolniejszym z ówczesnych lwowskich obrońców sądowych, Adamem Dulskim, który niegdyś jako dyurnista pracował w kancelaryi Zimorowicza, gdy tenże jeszcze był pisarzem radzieckim. Manzi i Manfredi czując się pokrzywdzonymi wyrokiem, poczęli wraz z Iderskim łżyć i znieważać cały sąd ławniczy. Za to kazał ich Zimorowicz wtrącić do więzienia, ale za sprawą Dulskiego wnet ich musiał wypuścić. Nie dosyć jednak na tem, bo Iderski jako szlachcic, który według ówczesnych praw nie mógł być przez sąd miejski karany, odwołał się do sądów królewskich, i mimo wszelkich przedstawień uzyskał wyrok, skazujący Bartłomieja na utratę urzędu i rok więzy za zniewagę godności szlachcica. I trzeba było niemałych kosztów i niemałych starań, by tylko znaczną kwotą okupić się Iderskiemu.

Odtąd na głowę Zimorowicza sypią się procesy. Zanim jeszcze sprawa z Iderskim dobiegła do końca, umiera i trzecia małżonka Bartłomieja, Rozalia Gros-wajerówna z początkiem r. 1661. W imieniu jej syna i pasierba poety, Franciszka, występują z pre-

tensyami do spadku krewni i opiekunowie małoletniego: Stanisław Groswajer, droguerzysta Jan Gędzicki, aptekarz Jan Złotorowicz i wreszcie przede wszystkim awanturnik, Michał Złotorowicz, towarzysz chorągwi pancernej Andrzeja Potockiego, który za udział w wojnie kozackiej, szwedzkiej i moskiewskiej otrzymał w r. 1659 indygenat szlachecki i tem samem mógł odtąd drwić sobie ze wszystkich sądów miejskich. Ci rzekomi opiekunowie, którym głównie o własną korzysć chodziło, zabrali już pierwej małoletniemu jego domy w Łucku, a teraz nie zadowolili się inwentarzem spadku po samej Rozalii, ale zażądali także spisania majątku, należącego do Zimorowicza i jego drugiej niegdyś żony, Zofii Zacharyaszówny, bo rzekomo według prawa podówczas obowiązującego, Rozalia, a po niej jej syn dziedziczyć mieli  $\frac{1}{3}$  część całego majątku. Nadarmo udowadniał Zimorowicz kwitami, ileto kosztów poniósł, zanim majątek Groswajerówny przynajmniej częściowo uporządkował, nadarmo wykazywał, że po drugiej żonie pozostała się córka Katarzyna, mająca przecież słuszniesze pretensye do spadku po matce. Opiekunowie tego wszystkiego nie słuchali i przy swoim upierali się. A gdy sądy miejskie wzięły stronę poety, odwołali się opiekunowie do sądów królewskich, u których Michał Złotorowicz miał niemałe poparcie przez Potockich i kanclerza Prażmowskiego. Kanclerz oddał sprawę do rozstrzygnięcia pod sąd polubowny Hieronima Pinocciego, wpływowego mieszczanina krakowskiego, który z możnymi panami zostawał w dość ścisłych stosunkach kupieckich. Zimorowicz pod naciskiem musiał się zgodzić na osobę superarbitra

i przesłał mu do Krakowa cały stos aktów i różnych dokumentów. Pinocci, jak z góry przypuszczać było można, polegając głównie na informacjach Złotorowicza, wydał w r. 1664 wyrok nader niekorzystny dla poety naszego. Zanim jednak tenże mógł się w nim należycie rozpatrzyć, spadła na niego inna również doniosła sprawa.

Wspominaliśmy już poprzednio, że mieszczenie lwowscy mimo natarczywych żądań Chmielnickiego, nie wydali mu Żydów ani w r. 1648 ani 1655 uważając ich słusznie za współobywateli, z którymi jednaką dolę dzielić wypada. Żydzi jednak źle odwdzięczyli się za to, bo nie tylko że umieli zwlekać z zaplaceniem części okupu na nich przypadłej, ale w tych czasach ogólnego rozstroju niesumiennej konkurencją podkopywali i tak już podupadły handel mieszczan i udawszy się pod opiekę możnych naigrywali się publicznie z władz i rozporządzeń miejskich. Czując też następnie wzrastające przeciwko nim rozgoryczenie, wyprosilili sobie małą załogę u starosty dla swej ochrony, uzbroili się sami i poczęli musztrować pod murami miasta. Na tak niezwykłe zjawisko zbiegło się mnóstwo ciekawej gawiedzi i studentów, na których Żydzi ufni w swoją siłę pierwsi uderzyli i kilkunastu z młodzieży poranili a nawet zabili. Z tego w czerwcu r. 1664 wybuchły dwukrotnie tumulty żydowskie, podczas których zabito 129 Żydów i wyrządzono szkody na kilkaset tysięcy złp. Brali udział w tych tumultach głównie nie mieszczenie, ale studenci i słudzy naddworni rozmaitych panów, we Lwowie podówczas przebywających. Zimorowicz sprawował wtedy właśnie



urząd burmistrza i czynił, co mógł, aby rozruchy uśmierzyć. Kazał zamknąć bramy miasta, by przeszkodzić napływowi z przedmieścia halickiego klasy biedniejszej i kozaków pańskich, przemawiał sam do tłumów i interweniował zapomocą nielicznej straży miejskiej. Wszystko jednak napróżno, bo namiętności rozjuszonych wzięły stanowczo górę. Dopiero wspólnym usiłowaniom burmistrza i poważniejszych mieszczan udało się wreszcie pochwycić kilku głównych burzycieli i porządek publiczny przynajmniej częściowo przywrócić.

Po uspokojeniu się rozruchów Żydzi nie zanieśli skargi na biedniejszych i kozaków nadwornych, bo to było niebezpiecznem, ale zaskarżyli studentów i magistrat przede wszystkim. Ujęli się też za nimi magnaci i skazali miasto na znaczne odszkodowanie a 4 rajców i 4 ławników, których Żydzi sami wskazać mieli, na rok i 6 tygodni więzienia. Do tych ostatnich zupełnie niesłusznie miał należeć i Zimorowicz, który wraz z innymi dopiero po długich staraniach i znacznych kosztach zdołał uchylić się od krzywdzącej go uchwały.

Podczas tych starań i kłopotów próbował się nasz poeta obronić również przed skutkami wyroku Pinocciego, ale nadaremne były starania jego w Warszawie i ogromne koszta, jakie poniósł. Sądy królewskie, dokąd się strony odwołały, słuszność przyznały Złotorowiczowi i puściły mu nawet bezkarnie, że dwukrotnie napadł ze zbrojnym orszakiem na kamienicę Kampianowską, strzelał do okien, drzwi wyrębywał i zamki odbijał, że raz Zimorowicza do Warszawy jadącego pojmał na drodze, woził

po lasach i manowcach, groził śmiercią i puścił dopiero wtedy wolno, gdy się wieść o tem rozeszła i okoliczni mieszkańcy czynnie przeciw czemuś podobnemu zaprotestowali.

Zimorowicz musiał wydać teraz cały prawie majątek ruchomy i nieruchomy i nadto z kamienicy Kampianowskiej, którą nabył za własne pieniądze zapłacić 7.500 złp. Bartłomiej zaciągnął też długi i złożył rzeczywiście w przepisany terminie 2.500 złp., które zabrał przemocą Michał Złotorowicz, bo potrzebował ich na swe próżniacze i hulaszczcze życie. Podnieśli protest przeciwko temu trzej inni opiekunowie, a zwłaszcza Jan Złotorowicz, utrzymujący i żywiący małoletniego Franciszka, i poróżniwszy się między sobą nie chcieli kwitować Bartłomieja, gdy ten znowu w terminie jawił się z resztą sumy. Dał znać o tem Zimorowicz natychmiast do sądów miejskich, ale Michał nie dbał o nie. a że było to w r. 1668 podczas bezkrólewia, po abdykacyi Jana Kazimierza, przeto udał się do sądów kapturowych i zapomocą wpływowych osobistości uzyskał wyrok skazujący zaocznie Bartłomieja na infamię i banicję. Zimorowicz, który wówczas znowu godność wójta i burmistrza piastował i z nowymi rozruchami w mieście miał do czynienia, musiał wszystko porzucić, jechać, prosić i błagać, by wyrok cofnięto i pieniądze od niego przyjęto. Zgodzili się wreszcie opiekunowie, ale Bartłomiej musiał jeszcze dodatkowo zapłacić 1.200 złp., niezasłużonej niczem grzywny. Z otrzymanej sumy ofiarował Michał Złotorowicz 1.000 złp. Karmelitom we Lwowie, jakby dla uspokojenia własnego sumienia.

Tyle wydatków i kosztów zniweczyło zabiegi całego życia i podkopało dobrobyt materyalny poety. Pocięgą i osłodą w tych przykrych latach była mu córka Katarzyna i czwarta z kolei małżonka, którą poślubił w r. 1663, w podeszłym już wieku: Jadwiga Kralówna, córka również rajcy lwowskiego. Z nią doczekał się trójga dzieci: syna Józefa, którego tak mieć pragnął, i dwu nowych córek Teresy i Zuzanny Rozalii. Rodzinie też i wychowaniu dzieci poświęcił resztę dni żywota; obok tego jednak ten nieczem nieugięty i niezmordowany człowiek nie zapominał o studiach historycznych i obowiązkach dostojnika miejskiego. Większą część swojej kroniki pisał właśnie wtedy i witał jeszcze w r. 1671 łacińską przemową królowę Eleonorę, żonę Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Kiedy zaś w następnym roku 1672 zawisła znowu burza od Turcyi i sprzymierzonych z nią Tatarów i Kozaków, zapisał swe imię złotemi głoskami w dziejach naszego Lwowa.

Gdy mianowicie Turcy i ich sprzymierzeńcy po zdobyciu Kamieńca ruszyli w wielkiej liczbie na Lwów, rzucili się mieszczenie z prośbą o radę do Jana Sobieskiego, podówczas jeszcze wielkiego hetmana koronnego. Sobieski radził im wprowadzić bronić się, dokąd odsiecz nie nadejdzie, ale równocześnie dodawał, by sami o sobie myśleli, bo on wojska ma mało i fortyfikacyom lwowskim nie może zaufać. W istocie też cofnął się pod Zamość i spowodował przeto podobną panikę, jak w r. 1648. Wszyscy rajcy i zamożniejsi mieszkańcy poczęli tłumnie uciekać i miasto byłoby niechybnie całkiem opustoszało, gdyby teraz z kolei na stanowisku nie

został był sędziwy Bartłomiej Zimorowicz. On to nie chcąc już po raz trzeci uchodzić z rodzinnego grodu, w którym 75 lat przepędził, kazał jako rajca i burmistrz zarazem, zamknąć bramy miasta i zwoławszy następnie pozostałych mieszczan upomniał ich gorąco, by ufali w pomoc Bożą i pamiętali o męstwie przodków i własnej tradycji.

Dodała ta przemowa odwagi i otuchy mieszczanom. Zamiast uciekać rzucili się do broni, a Zimorowicz przy pomocy komendanta, Eliasza Łąckiego, opatrzył mury, jak mógł i rozdzielił stanowiska między cechy i 200 piechoty zostawionej w mieście przez Sobieskiego. Następnie kierował wraz z Łąckim bohaterską obroną miasta od 22 do 30 września 1672 r. przeciw olbrzymiej potęgze nieprzyjaciół, dopóki nie przybyli posłowie od króla i nie zawarli rozejmu z Turkami. Lwów złożył tylko okup, 120.000 złp. nie przenoszący i uratował się w ten sposób po raz trzeci od zupełnego zniszczenia, uratował się głównie za sprawą Zimorowicza, który tym jednym czynem zasłużył sobie na wieczną wdzięczność miasta. Współcześni czuli to sami i sędziwemu swemu poecie i kronikarzowi w następnym roku 1673 jeszcze raz godność wójta i rajcy czynnego powierzyli. Za jego też urzędowania przybył król Michał do Lwowa i tu w kamienicy arcybiskupiej (dziś Rynek I. 9.) dokonał życia 10. listopada 1673 r. W trzy lata później r. 1676 zawiątał i Jan Sobieski, gdy po zwycięstwie chocimskim królem obrany wyruszył pod Żurawno na nową wyprawę z Turkami. Schorzały już wtedy Zimorowicz zdobył się jeszcze na krótki wiersz łaciń-

ski, w którym jak niegdyś w *Vox leonis* uprasza króla nadewszystko o pokój dla wyniszczonego wojnami miasta.

Wśród tych ostatnich lat żywota nie zaznał także nasz poeta chwil szczęścia i spokoju. Zatruił mu je i zasępił przed innymi Jan Krall, rodzony brat małżonki poety, a zarazem i mąż najstarszej jego córki Katarzyny. Zimorowicz kupował mu dwukrotnie sklep żelazny i zaopatrywał w gotówkę, jaką mógł — ale zawsze nadaremnie, bo zięć nie chciał pracować i przemarnował wszystko, spędzając życie na hulan-kach i grze w karty z dobraną kompanią. Tak trwało lat kilka, aż wreszcie przebrała się miarka cierpliwości u teścia, i gdy po wykupieniu go z więzienia, dokąd dostał się był z powodu niedotrzymania ugody, nie zmienił i nadal trybu życia pomimo ciągłych prośb i upomnień, lecz przeciwnie uciekł ze Lwowa zabrawszy pokryjomu, co mógł, z posagu żony, wówczas wyrzekł się go Zimorowicz i wydziedziczył sądownie. Ile zgryzot i zmartwienia przebył przedtem poeta, zanim zdobył się na podobnie stanowczy krok względem własnego zięcia, zrozumieć łatwo, czytając dzisiaj ten akt sądowego wydziedziczenia, w którym ból i rozpacz przebija z każdego niemal wyrazu.

Do kłopotów z zięciem przyłączyła się w r. 1675 i śmierć czwartej żony, Jadwigi Kralówniej, którą również Zimorowicz zrzędzeniem losów przeżyć musiał. Na nieszczęśliwego 80-letniego starca podziałało to wszystko nader przygnębiająco. Zapadł więc na zdrowiu; choroba trawiła go powoli i wreszcie 14. października 1677 r. położyła kres temu niestrudzonemu życiu, które chyba różami nie było zasłane.

Do utworów wydanych w tym długim, prawie trzydziestoletnim, okresie należą pisma dwojakiego rodzaju: Dzieła ściśle historyczne, do lokalnych dziejów Lwowa się odnoszące i zbiorek 17 pieśni przewzanych przez autora *Sielankami*. Również i w wyżej wymienionych (str. 28) *Roksolankach* Szymona Zimorowicza, wydanych dopiero w r. 1654 tuż przed ślubem Bartłomieja z drugą jego żoną Zofią Zacharyaszówną, znajdują się pieśni ułożone przez późniejszego rajcę i burmistrza. Ponieważ jednak sprawa to nader zawiła i dzisiaj niepodobna już dokładnie i stanowczo orzec, co wyszło z pod pióra samego Bartłomieja, a co jest duchową własnością jego młodszego brata, przeto na tem miejscu całą tę kwestyę pomijam i wolę raczej, o ile szczupłe ramy niniejszej książeczki pozwalają, poświęcić jeszcze słów kilka ostatnim utworom naszego poety, na których do niedawna cała jego literacka sława polegała.

Otóż *Sielanki* czyli zbiór owych 17 pieśni wydał Bartłomiej w r. 1663 prawdopodobnie na uczczenie ślubu z Jadwigą Kralówną. Zawarte tu pieśni powstały jednak wśród różnych okoliczności i w znacznych od siebie odstępach czasu. Kiedy bowiem jedne sięgają jeszcze lat niemal młodzieńczych przed poślubieniem Katarzyny Duchnicówny, to natomiast inne powstały podczas piastowania kolejno godności pisarza, ławnika i rajcy, gdy poeta uspokoił się już po stracie dzieł z pierwszego małżeństwa i mieszkał w ulubionej swej „winnicy“, lub nawet pochodzą z czasów jeszcze późniejszych, czasów przebywania latem w dworach Groszajewskich na Kaleczej górze i w Brzuchowicach. Tak odmiennym warunkom i okolicznościom powstania

odpowiada i nadzwyczajna różnorodność treści, za przykładem i wzorem sławnego rzymskiego poety, Wergiliusa Marona, który w swoich Bukolikach czyli Eklogach obok idylli naśladowanych z Teokryta, najznakomitszego z sielanko-pisarzy greckich, pomieścił także wspomnienia z własnego życia i pieśni poważne, do sielanek w niczem niepodobne. Również i w Sielankach Zimorowicza obok pieśni przełożonej wprost z rzymskiego wieszczą Owidyusa (Zazuli syn, XII), obok naśladowań z Wergilego i Szymonowicza, jak Swaci (IV), Mołojcy (VI) lub Spiewacy (VIII), znajdują się i wspomnienia z własnej młodości i własnego życia, ubrane tylko w szatę idyliczną, jak Kubeźnicy (I), Miłosz (II), Zalotnik (X), Winiarze (XIII) i Zjawienie (XIV), znajdują się dalej i pieśni treści religijnej (Przenosiny IX) lub o zakroju elegii na śmierć brata Szymona i dwu żon Katarzyny i Zofii (Płaczenie III, Roczyzna V, Narzekalnice VII, Żałoba XI i Filoreta XVII), nie mówiąc już nic o wierszach tak tragiczno-opisowych, jak przedtem już wspomniane pieśni historyczne Kozaczyzna (XV) i Burda ruska (XVI). Tytuł więc: *Sielanki* nie określa należycie treści całego zbioru i nie nadaje się nawet wcale do niektórych pieśni, złączonych tu razem w jedną całość. Zimorowicz szedł w tym względzie śladem nie tylko Wergiliusa samego ale i bliższych sobie: Szymonowicza i włosko-łacińskich sielanko-pisarzy z XVI wieku, choć zaznaczyć wypada, że Wergiliusa Bukoliki właśnie dla tej ich różnorodnej treści nazywano także *eclogae* czyli pieśni wybrane.

Jeden jest tylko łącznik, spajający chociaż dość luźnie, wszystkie tak zwane sielanki Zimorowicza.

Jest nim silna barwa lokalna, z stosunków Lwowa i okolicy wzięta i niemal we wszystkich pieśniach przejawiająca się. Choć pomysł i forma, przejęte nieraz z Szymonowicza, Wergilego lub najbardziej przez poetę umiłowanego Owidyusza, choć w doborze słów lub obrazów widoczne niejednokrotnie naśladownictwo Trenów Kochanowskiego, to przecież gdy się bliżej przypatrzymy, znajdziemy i tu barwę odmienną, zastosowaną do współczesnych stosunków lokalnych, i odkryjemy mnóstwo aluzji lub wprost szczegółów, opowiedzianych na temat wypadków, podówczas we Lwowie dobrze znanych. Toteż Sielanki Zimorowicza zrozumiemy dokładniej dopiero wtedy, gdy z uchyleniem zasłony, pokrywającej dotychczas jeszcze w znacznej mierze wiekową przeszłość naszego grodu, wyjaśnią się lepiej ówczesne stosunki i wystąpią przejrzyściej osobistości, niemałego znaczenia niegdyś w mieście zażywające. Zapomnieli o tem dotychczasowi krytycy i w swojej nieświadomości oceniali Sielanki zbyt abstrakcyjnie, bez uwzględnienia tła, na którem powstały i urosły.

Zwrócić mi wreszcie uwagę należy na niemały zmysł spostrzegawczy Bartłomieja i jego nieraz dziwnie trafną obserwacją przyrody, z której czerpie najwięcej materiału do swych porównań i obrazów; pominąć także nie mogę i najżywszego przywiązania poety do rodzinnej ziemi i jej hojnych darów, których, jako gospodarz prawie wiejski, używał sam w całej pełni. Gminne natomiast wyrazy i pasowanie się z formą wierszy, tu i owdzie widoczne, tłómaczą się stosunkami poety niejednokrotnie nieszczęśliwymi i przemożnym wpływem ówczesnej polskiej poezyi.



Studjom nad dziejami ojczystego miasta, poświęcił Zimorowicz niemało czasu. Czterdzieści lat badał przeróżne źródła historyczne, jako to akta i pisma urzędowe, pamiętniki i zapiski prywatne. Owocem ich przedewszystkiem *Leopolis triplex*, Lwów troisty czyli Kronika Lwowa pisana w języku łacińskim, w ostatnich 20 latach życia poety. Opowiada nam ona dzieje naszej stolicy od czasów najdawniejszych aż do r. 1633, i jest pomnikiem historycznym bardzo ważnym i nader chlubnie świadczącym o zasługach literackich Zimorowicza, już choćby z tego jedynie powodu, że ani jedno z właściwych miast polskich nie wyłączając Krakowa, Wilna i Warszawy, nie może się poszczycić kroniką podobną, z XVII. wieku jeszcze pochodzącą. Pozostała ona jednak niewykończoną; opowiadanie przerywa się na pierwszym roku panowania Władysława IV., bo choroba i śmierć niedozwoliły kronikarzowi dalszego prowadzenia raz rozpoczętego dzieła.

Łacina pisarza napuszysta i pełna zagadek, nieraz doprawdy trudnych do odcyfrowania. Jeżeli jednak pominiemy ustępy do bajecznych czasów się odnoszące, a przerobione z opowiadania Długosza i Krómera, to z poza niesmacznej nieraz łaciny i formy, odsłoni się całe mnóstwo szczegółów pierwszorzędných, o których dzisiaj częściowo nie mielibyśmy już tak dokładnych wiadomości. Zimorowicz bowiem czerpał jeszcze z nierównie bogatszego archiwum miejskiego, tudzież z broszur i pism dzisiaj częściowo zaginionych, jakoteż z żywej tradycyi ówczesnego mieszczaństwa. On też pierwszy ocenił bystro rozwój historyczny naszego stołecznego grodu, *Leopolis triplex* czyli

Lwów troisty nie jest wcale tytułem dziwacznym, ale nagłówkiem ważnym, przenikającym tajemnicę historycznej przeszłości naszego miasta. Było ono rzeczywiście grodem trojakiiego rodzaju, najpierw ruskim w XIII. i częściowo XIV. wieku, potem niemieckim za czasów pierwszej swej świetności i przeważnego wpływu licznie tu osiadłych kupieckich rodów niemieckich, urzędujących nawet w języku niemieckim, wreszcie od połowy XVI. wieku grodem polskim, w którym rozmaite narodowości przetworzyły się w jedno polskie mieszczaństwo o zachodniej kulturze, choć z przymieszką barw lokalnych i zbytku wschodniego.

W Kronice jest też Zimorowicz mieszczaninem, do swego miasta, jego urządzeń i instytucji niewątpliwie szczerze i gorąco przywiązany; niemniej jednak czuje się Polakiem całą duszą i na wypadki w Rzeczypospolitej, a zwłaszcza na Czerwonej Rusi zwraca baczną uwagę. Że zaś prawdy z rozmysłu nigdy nie fałszuje, tylko co najwięcej niektóre fakta ze względów osobistego bezpieczeństwa w łagodniejszym świetle przedstawia, przeto Kronika jego pozostanie na zawsze pierwszorzędnem źródłem do dziejów miejscowych i punktem wyjścia dla wszystkich, którzy w naukowy sposób zajmują się badaniem przeszłości naszego Lwowa. A przecież istniała dotąd tylko w rękopisie, choć już w r. 1835 ukazała się w przekładzie polskim Marcina Piwockiego, przekładzie nader lichym i pełnym znacznych błędów, wynikających z nieznajomości stosunków i małego czytania w ówczesnej zbyt obrazowej łacinie. Dopiero obecna trzechsetna rocznica urodzin Zimorowicza podała Reprezentacyi Lwowa sposobność uczczenia

pamięci poety przez wydanie jego tak cennej kroniki i uprzystępnienie jej szerszemu kołu badaczy.

Zimorowicz zamierzał też opisać dzieje lwowskich kościołów, tudzież podać dokładniejsze wiadomości o pożarach, murach i kamienicach we Lwowie. Z całego jednak szeregu tych dziełek, prawdopodobnie nigdy niewykończonych, dochowały się do naszych czasów tylko fragmenty odnoszące się do kościołów św. Krzyża przy gościńcu janowskim i św. Krzyża przy ulicy Gliniańskiej, kaplicy św. Marka i Marty na Kaleczej górze i szpitala św. Ducha wewnątrz murów właściwego miasta. Nadto w r. 1671 wydano *Viri illustres civitatis Leopoliensis*. (Znakomici mężowie miasta Lwowa) tj. spis sławniejszych mieszkańców lwowskich, pełen ważnych choć dość suchych szczegółów biograficznych, a w rok później ukazał się w druku *Domus virtutis et honoris* (Dom cnoty i godności), dziełko niewielkie odnoszące się do dziejów klasztoru OO. Bernardynów, umiłowanego szczególnie przez Bartłomieja. Pamiętnik wreszcie oblężenia tureckiego z r. 1672 (*Leopolis a Turcis, Tataris, Cosacis, Moldavis obsessa*) wydany dopiero w 16 lat po zgonie poety, a bardzo ważny i zajmujący, bo pisany przez współczesnego, naocznego świadka, kończy szereg pomniejszych pism historycznych Zimorowicza, z których nawet i drukowane dochowały się do nas w kilku zaledwie egzemplarzach.

\*

\*

\*

Józef Bartłomiej Zimorowicz jest zatem prawdziwym typem mieszczaństwa lwowskiego z XVII. stulecia, związanym jak najściślej z jego wesołemi

i smutnemi dziejami. Dla rodzinnego miasta zawsze na usługi gotów, służy mu w istocie wiernie piórem i czynem. Jako wybijający się dopiero plebejusz pamięta jego szczęśliwsze chwile; gdy zaś energią i pracą dorobił się niemałej fortuny i wielkiego znaczenia, upada z niem razem niestety skutkiem klęsk zewnętrznych i ucisku szlachty, jako jego wierny obrońca i najwyższy dostojnik. Na polu literackiem w poezyi od wierszy swywolnych i miłosnych przechodzi najpierw do poematów satyrycznych i opisowych, a następnie wskutek nieszczęść rodzinnych przerzuca się na pole poezyi religijnej, i kończy wreszcie sielankami o treści różnorodnej i silnem miejscowem zabawieniu. W prozie niemal wyłącznie łacińskiej zaczyna panegirkiem religijnym lub szlachetnie podniosłą dziejową chwilę wysławiającym, a kończy kroniką i utworami historycznymi, wprawdzie nie szerokiego horyzontu, ale nader ważnymi do dziejów tego grodu, któremu całe swe życie poświęcił. Niechaj więc dnie jubileuszowe trzechsetnej rocznicy jego urodzin będą pomnikiem wiekowej tradycji i dniami radości i tryumfu dla naszego znowu w całej pełni odradzającego się mieszczaństwa!

